Nr. 13. Kraków, dnia 27 marca 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

ALLELUJA!

Kiedy zeszyt niniejszy dojdzie do rąk Czytelników, Polska cała święcić będzie w radości i weselu święto Zmartwychwstania Pańskiego. Zespalać się będzie w tych uczuciach naród cały.

Chrystus zmartwychwstał, Alleluja!

Rozbrzmiewa wszędy okrzyk radości! Podejmuje go każdy i dzieli się radością swą z najbliższymi i najdroższymi.

Bo święto Zmartwychwstania Chrystusa dla nas jest świętem droższem niż dla innego narodu. Odczuwamy je szczerzej i żywiej niż kto inny.

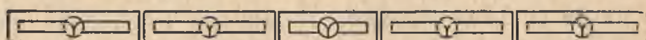
Zmartwychwstanie Pańskie oznacza zwycięstwo Prawdy nad fałszem, Dobra nad złem, Sprawiedliwości nad nieprawością.

Fałszem i nieprawością zdeptano nas i pokonano; w walce z nami ileż środków niegodziwych wyszukuje się, byleby jeno zgnieść nas i wyrwać wszelką nadzieję jutra pogodnego i zwycięstwa. W tej właśnie dobie święto Zmartwychwstania przychodzi jako świadectwo wiary i niezmąconej nadziei. Wlewa ono w nas głębokie przekonanie, że sprawa dobra i sprawiedliwa zwyciężyć zawsze muszą, że mimo najwyrafinowańszych zabiegów nie zwycięży nigdy to, co zaprzeczeniem jest dobra i prawdy.

W radosnej nam wszystkim chwili, łączymy się z Czytelnikami naszymi jako jedna rodzina, wplatamy się w ich uczucia i życzymy:

Daj Boże i Boże błogosław pracy zmudnej i twardemu życiu; w pracy tężeją charaktery, a przez silne dusze odradza się naród. Daj Boże wesela i radości, aby się w nich pławiły umysły nasze i żyły zawsze pragnieniem życia wielkiego, pełnego i twórczego.

Chrystus zmartwychwstał, Alleluja!



Przy święconem.

Kiedy zbiorą się członkowie rodziny i najbliżsi przyjaciele nasi przy stole biesiadnym, aby życzyć wzajem i pogwarzyć „przy święconem“ — rozmowa zejdzie zawsze na sprawy najbliższe im wszystkim. Zasiadając dziś przy stole biesiadnym z Czytelnikami naszymi, chcemy z Wami pomówić o naszym „Tygodniku“.

Przeszliśmy przez chrzest dziennikarski, przez pierwszy kwartał naszego wydawnictwa. W naszych stosunkach to bardzo dużo. Stworzyliśmy w Galicyi *nowy typ pisma rodzin polskich,* nie goniącego za niezdrową sensacyą, ani polującego na łatwowierność czytelnika, ale staraliśmy się dawać pokarm duchowy zdrowy i potrzebny każdemu. Stojąc przy *wierze* Ojców naszych i kierując się *dobrem narodu* jako naczelnym wskaźnikiem działania publicznego, obejmowaliśmy w pracy naszej całe życie współczesne Polski.

Nowe rzeczy i nowe formy zwolna muszą zyskiwać prawo obywatelstwa. Dumni być możemy z pracy naszej, że społeczeństwo oceniło ją szczerze i *przychylnie.* Zdobyliśmy zaufanie szerokich kół, zdobyliśmy żywe odczucie dążeń naszych we wszystkich sferach społecznych. Wierzymy też, że to zaufanie u społeczeństwa pogłębiać się jeno będzie, że wziętość pisma rość będzie nieustannie, bo sami Czytelnicy nasi poprą nas skutecznie

w gronach przyjaciół i znajomych, i zwiększą poczet naszych przedpłacicieli kilkakrotnie. Gdyby każdy czytelnik zdobył w ciągu kwartału tylko jednego abonenta, a w roku czterech — jakżeż imponująco wielka byłaby nasza Rodzina przyjaciół i przedpłacicieli *„Tygodnika“!*

Jesteśmy pewni, że sami Czytelnicy pomogą w naszych usiłowaniach i w dniach powszechnej radości i wesela, w Święto Zmartwychwstania, w rozmowach i gawędach przyjacielskich niejednem słowem życzliwem poprą nasz „Tygodnik“, niejedną zachętą serdeczną nakłonią do współpracy.

W zamian za to Tygodnikowi niech będzie wolno odsłonić nieco zamiarów w pracy naszej w najbliższym kwartale.

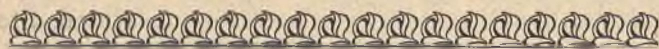
Chcąc lepiej ujmować współczesne życie Polski postanowiliśmy w szeregu artykułów zobrazować nasze położenie obecne; zaangażowane w tym celu wybitne siły pisarskie w najbliższych numerach przedstawią je wyczerpująco. Pragnąc również lepiej niż dotąd i obszerniej uwydatniać nasze życie umysłowe, redakcya Tygodnika postarała się o nowe siły literackie, które zdawać będą sprawę z najnowszych publikacyi literackich i naukowych.

Rozwój pisma zawisł od Czytelników: *Wydawnictwo nasze taniością swoją przewyższa wszystkie istniejące w Polsce pisma.* Jeżeli obecnie znów rozszerzamy nasz Tygodnik, to czynimy to w tem przeświadczeniu, że Przyjaciele nasi usiłowania nasze poprą wydatnie przez jednanie abonentów i w ten sposób przyczynią się do dalszego rozwoju pisma.

Oto, z czem chcieliśmy się podzielić z Czytelnikami „przy święconem“. Mówcie także i Wy, Przyjaciele nasi „przy święconem w gronach swych znajomych!...

Alleluja!

Redakcya.



Zlot a Grunwald.

Lwowski *„Przewodnik gimnastyczny Sokół“,* zamieścił pod tym tytułem artykuł, oświetlający cel i znaczenie zlotu sokolskiego w rocznicę grunwaldzką tak poważnie, że podajemy tutaj główny ustęp:

„Obchód cały będzie tylko uroczystym stwierdzeniem, że się wewnętrznie przeobrażamy korzystnie, że główny nacisk w naszej pracy położyliśmy na oświatę i uświadomienie narodowe i że na te cele ofiarność nasza jest niewyczerpalną. Wyzbywamy się powoli, ale stale skłonności do łatwych efektów zewnętrznych, a urabiamy dusze nasze, aby były sposobne do zadań, jakie przyszłość nam przygotowuje.

Zlot nasz ma społeczeństwo przekonać, że szeregi tych ludzi, którzy rozumieją, że do rozważnej a energicznej i zapałem dokonywanej pracy potrzeba zdrowia, i że zrównoważenie duchowe najprędzej dokonywa się w mocnym i odpornym organizmie, rośnie i staje się coraz sprawniejsze. Przedstawimy tam tężyznę fizyczną, która obudzić winna nie mgliste i nieuchwytne nadzieje, ale pewność, że dość posiadamy rąk zdrowych do każdej pracy, serc szczerych i gotowych na każdą ofiarę, jakiej od nich losy żądają i umysłów trzeźwych, co rozważają i obliczają każdy krok jaki postawić trzeba i co umieją trzymać mocno na uwięzi serdeczne pragnienia, jakie dusze wypełniają.

Tak Sokolstwo polskie rozumowało, gdy złot postanawiało, i tak się też do niego przygotowuje. Oparło się w przygotowaniach na własnych siłach i gromadzi je. Wie dokładnie, że zlot wtedy będzie można uważać za udały, jeżeli wypadnie wspaniale, gromadząc dużą na boisku liczbę, wie, że zniewoli dla siebie wszystkich, jeżeli się odznaczy godnością, powagą i składnością. Bo nasz zlot, to nie manifestacya, choć się łączy z uroczystą chwilą, ale obrachunek z nami samymi. Trzeba to stwierdzić z całą stanowczością. Tak samo nie można uważać i uroczystości za manifestacyę lub, coby było jeszcze niedorzeczniejsze, za celową demonstracyę. My demonstrujemy przeciw tym, co nas zniszczyć i zgnieść pragną, codziennie tym, że żyjemy, i że się mimo tych przeciwności rozwijamy, że się łączymy, że tępimy w sobie wady, które na nas klęski ściągnęły. Nie potrzebujemy na takie demonstracye aż używać uroczystych chwil, bo wolimy je zużytkować na wzmocnienie ducha.



Kwartał pierwszy się kończy, czas odnowić przedpłatę!





Zmartwychwstanie.

Dziś Zmartwychwstania nadszedł dzień
Pod krzyż się wszyscy garną!
Do Twych świetlanych Chryste stóp
Każde się czoło nagnie,
Bo każdy w duszy nosi grób
I Zmartwychwstania pragnie!

Wielka — tajemnic pełna noc,
Ta Zmartwychwstania chwila
Przez Twoją Panie Boską moc
Grób się jak kwiat rozchyla.

I z grobu Pan — nad kwiaty kwiat —
Do Niebios się podnosi!.....
U grobu Twego cały świat
O Zmartwychwstanie prosi.

I z Magdaleną płakać wraz
Pójdzie i lud Twój cały,
Nad Grobem — kędy pusty głaz —
Na głazie — całun biały!

I z Magdaleną wierny lud
Szukać Cię nie przestanie,
Aż przez miłości słodki cud
Przemówisz doń, o Panie!

I z Magdaleną czołem w pył
Twój korny lud uderzy...
Do **Zmartwychwstania** *dodasz sił*
Bo kocha on i wierzy...

Bożymir

Wielkanoc w Polsce.

Wielki post, ze swoim wstrzymaniem się od zabaw światowych, ze swoim rozpamiętywaniem, przypada w porze posępnej, będącej przejściem z martwoty zimowej do życia młodego, wiosennego. Kościół, odgadując tajemnicę natury naszej, umiał zastosować obrzędy i uroczystości do pór roku. Jakoż wielki post i adwent przypadają właśnie na czas przejścia, czas najnieznośniejszy w naturze. Umysł, układając się do harmonii ze światem zewnętrznym, skłonniejszym jest wtedy do rozmyślań nad znikomościami doczesności, bo gdzie spojrzy, widzi zamęt, chmury, słońce omdlałe i bojaźliwie ukazujące się na horyzoncie, a za to ma noce długie, sprzyjające rozbudzonej fantazyi i rojom duchów, których głosy jęczące odzywają się jakoby w poszumie wichrów.

Jakby na ożywienie w smutku pogrążonej duszy utrwala się wiosna, zaczym następuje największa uroczystość w chrześciaństwie: **Wielkanoc** — dzień Zmartwychwstania!

Wiosna! Zmartwychwstanie! Jakież cudowne połączenie symbolu z naturą. Wszystko też, jeżeli tylko pogoda i słońce sprzyja, wybucha życiem. Domowa zacisza już niema powabu, za to pola, łąki, lasy nęcą nas, wyciągają na wolne i świeże powietrze. To nagłe przejście z umartwień wielkotygodniowych, z postów, spowiedzi, pokuty, z posępnej żałoby kościołów do radości zmartwychwstania, do życzeń wesołego Alleluja przy spożywaniu wielkanocnego jaja, tyle w sobie mieści poetycznego żywiołu, że doprawdy dziwić się trzeba naszym poetom, iż obrazy uroczystości tej nie wpletli w swoje epopeje. Ktokolwiek sięga wspomnieniem lat dawniejszych, już dziś spostrzega różnicę i czuje chłód nieprzyjemny, wdzierający się we wszystkie nasze obchody i stare zwyczaje. Niechże więc poezya pochwyci je w swoje złote ramy, zachowa potomnym, aby mogli kiedyś pomyśleć: Życie ojców naszych o ileż było rozmaitsze od nudnej prozy, którąśmy sobie wyrobili zimnym rozumem wieku!

I prawda, porównując to co dziś jest z tem co było, przekonamy się, że z każdym dniem ubywa, to jakiś obrząd, to zwyczaj, to pamiątka! Weźmy n. p. **Święcone** — wszak to pamiątka z duszy słowiańskiej wypruta. Nie obchodzą jej w żadnym kraju, a jednak jak często, ba coraz częściej usłyszeć można zdania ludzi wysoce „cywilizowanych“, spoglądających krzywem okiem na wszystko co swojskie i dowodzących, że Święcone, ten zbytek zastawy i jadła, to zwyczaj barbarzyński, że takie placki, baby, szynki i jaja można jeść cały rok a nie w jednym lub tylko kilku dniach. Na to trudno odpowiedzieć, bo, dowodząc symboliki jajka wielkanocnego, baranka itd. narazić by można raczej na żart całą tę poezyę wielkanocnego obchodu.

Nie będziemy tu opisywali całej zastawy „stołu wielkanocnego“ w Polsce, tych w ogromnej obfitości ciast i bab o różnych formach i w różne desenie lukrowanych, owych prosiąt nadziewanych i t. d. — zawiodłoby to nas za daleko. Wskażemy tylko, że owe pieczywa stanowiły zawsze pewnego rodzaju podziwu godne i wielce apetyt pobudzające *maisterszytki* dobrej gospodyni polskiej.

Pożywanie święconego jajka jest treścią, głównym symbolem obchodu wielkanocnego, podobnie jak łamanie opłatka na wigilię Bożego Narodzenia. Gospodarstwo częstują niem każdego gościa z życzeniami szczęśliwego Alleluja i pomyślności w życiu. Zwyczaj to starożytny, sięgający owych wieków, kiedy oddawano cześć siłom natury. Kościół zachował go w zupełności. W wielu miejscach, gdzie nie wiedzą nawet o zwyczaju Święconego, dzielą się jajkiem. Zdaje się, że ubóstwienie słońca było wspólne wszystkim pierwotnym religiom, jaje, ten symbol życia w zarodku, składano na ofiarę promiennemu bogu, który ciepłem swojem życie z jajka wyprowadzał. Ale mniejsza, o ginący w imię wieków i podań zwyczaj święconego, dość, że to nas ojczysty, staroświecki, a jeszcze więcej, że uświęca gościnność że gromadzi ludzi i łączy ich z sobą, nie w imię przedsiębiorstw, ani rachub politycznych, ale jakimś serdecznym i patryarchalnym węzłem.

Dzień pierwszy Świąt Wielkanocnych, jak każe zwyczaj, obchodzony bywa w Polsce w kole domowem. Gospodarz przyjmuje odwiedziny osób, które z różnych ważnych powodów nie robią u siebie Święconego. Nazajutrz odwiedzają się wszyscy. Poniedziałek otwiera się powszechnie bardzo osobliwym zwyczajem, rozpowszechnionym zarówno wśród ludu jak i w sferach wyższych. Ledwo bowiem oczyś otworzył, a może jeszcze snem sklejone, kiedy budzi cię zimna kąpiel. Szklanka wody wylana na twoją głowę, zmusza cię zerwać się z łóżka; chciałbyś złożeczyć, łając psotnika albo psotnicę, darmo! śmiech tylko zbudzisz i czoła schylić musisz przed starym zwyczajem — bo to oblewany poniedziałek, czyli *Dyngus* albo *Śmigus*.

Ks. Kitowicz, kreśląc obyczaje Polaków za Sasów, tak mówi o Dyngusie: „Kiedy bywało rozweseliła się kompania, panowie i dworzanie, panie i panny, lali jedni drugich wszelkiemi stat-



Święcenie potraw wielkanocnych na wsi.

kami, jakich dopaść mogli, hajducy i lokaje donosili cebrami wody a kompania dystygowana czerpiąc od nich, goniła się i oblewała od stóp do głowy, tak, aż wszyscy zmoczeni byli, jakby wyszli z jakiego potopu.“ Dzisiaj oczywiście jesteśmy daleko mniej swawolni, brak nam tego żywiołowego wesela i swobody duszy. Dawną swobodę i szczerość natury polskiej zastąpiła dziś niestety oschłość, sztywność i etykietalność, słowem nieszczerość; dziś na dyngus — o ile się o nim jeszcze nie zapomniało — wystarcza flaszeczka perfum.

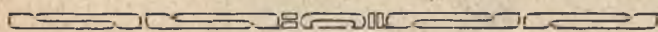
Wielu zastanawiało się nad tem, skąd się u nas wziął dyngus i jakie jest jego znaczenie. Z pośród wielu domysłów, jeden zdaje się pytania te wyjaśniać zgodnie z istotą rzeczy. Oto u Słowian z wiosną następował początek roku. Pod ową porę zazwyczaj topiła ludność słowiańska boginię śmierci czyli zimę, znaną p. n. Morana albo Marzanna. Również z chwilą budzącej się wiosny, a więc z początkiem nowego roku, w celu zmycia nieczystości kończącego się roku, zwykły kobiety w dawnej słowiańszczyźnie zlewać wodą każdego mężczyznę, tym zaś przysługiwało prawo do odwetu. Zabytek dyngusu więc pochodzi z mroków Słowiańszczyzny i odpowiada wyobrażeniu odmłodzonego życia.

Na koniec trudno się nam powstrzymać, by nie przytoczyć opisu święconego, wyprawianego np. u księcia Sapiehy w Dereczynie za czasów króla Władysława IV. Opis ten, wyjęty jakby z opowieści tysiąca nocy i jednej, daje nam wyobrażenie, jak we dworach polskich obchodzono dawnemi czasy Święta Wielkanocne.

Oto, co o owem Święconem powiada kronikarz: „Stało cztery przeogromnych dzików, to jest tyle, ile części w roku, każdy dzik miał w sobie wieprzowinę, *alias* szynki, kiełbasy, prosiątka. Kuchmistrz najcudowniejszą pokazał sztukę w upieczeniu całkowitem tych odyńców. Stało tandem dwanaście jeleni, także całkowicie upieczonych, ze złocistemi rogami, ale do admirowania, nadziane były rozmaitą zwierzyną, *alias* zającami, cietrzewiami, dropiami, pardwami. Te jelenie wyrażały 12 miesięcy. Naokoło były ciasta sążniste tyle ile tygodni w roku, to jest 52, całe cudne placki, mazury, żmujdzkie pierogi a wszystko wysadzane bakalią. Zatem było 365 babek, to jest tyle, ile dni w roku. Każde było odornowane inskripcyami, floresami, że niejeden tylko czytał a nie jadł. Co zaś do bibendy, były: 4 puhary (4 pory roku) napełnione winem jeszcze od króla Stefana. Tandem 12 konewek srebrnych z winem po królu Zygmuncie (te konewki 12

miesięcy). Tandem 52 baryłek także srebrnych *in gratiam* 52 tygodni, było w nich wino cypryjskie, hiszpańskie i włoskie. Dalej 365 gąsiorków z winem węgierskim, *alias* tyle gąsiorków ile dni w roku. A dla czeladzi dworskiej 8700 kwart miodu robionego w Brezie, to jest ile godzin w roku".

Tak wyglądało staropolskie Święcone, wobec którego bledną wszelkie uczty starego Rzymu.



Niewolnice szat.

Państwo nie wiedzą o tem, iż w niektórych domach są biedne niewolnice szat.

Państwo nie słyszą skarg tych istot i nie widzą ich męczarni?

Chcą one mówić, a muszą milczeć.

Chcą nieść światło, a im każą siedzieć w ciemności.

Chcą żyć i do żywych się zbliżać, a im każą istnieć w zamkniętych szafach i nie pozwolą się ruszyć.

Gdyby nie miały na sobie szat pięknych, mogłyby być bardzo mile witane przez wiele rąk, i wiele serc by się ku nim zbliżało, ale te wspaniałe, drogie szaty są dla nich niewolą ciężką.

Czy państwo u siebie w domu także takich niewolnic nie mają?

Ulitujcie się i nad niemi i nad tymi, którym by one życie umilały...

Są to książki w pięknych oprawach, zamknięte i zabalsamowane na wiekuisty spoczynek dlatego, iż są oprawione pięknie. Gdyby nie ta oprawa, czytano by je, one by mówiły, życie by umilały, życie by niosły, dawałyby jasność, światło i ciepło...

Ale nie wolno ich wyjąć, ani nie wolno ruszyć... szkoda!... Mogłaby się pozłacana szata zniszczyć...

Biedne niewolnice szat... biedne męczennice, którym żyć nie wolno...

Może Państwo ulituje się nad biednymi ofiarami i pozwolą im ruszyć się kiedy z kaźni ciasnej...

Choćby i pozłacana szata zbladła i piękna oprawa zbrzydła, byłyby te książki tysiąckroć piękniejsze, boby świadczyły o tem, iż żyć im wolno i życie drugim mogą umilać.

Już się tak dawno cywilizowane ludy starały o zniesienie niewoli, a my takie biedne niewolnice w domach trzymamy...

Czy nie żal? *Jadwiga S.*



ARABKA.

Krzewmy piękne zwyczaje.

Od kilku lat w niektórych miejscowościach naszego kraju rozpowszechnił się piękny zwyczaj — godzien poparcia w każdej wsi, w każdem miasteczku, w każdym domu. Oto z chwilą zbliżenia się wiosny odbywa się t. zw. „święto sadzenia drzew.“ Więc gdzieś na drogę, czy ulicę miasta zwożą stos młodych płonek, sadzą i każde drzewko ma opiekunów, jakby chrzestnych, w osobie dziecka, któremu oddaje się drzewko pod dozór i jego wyłączną pieczę.

Piękny ten i pożyteczny zwyczaj winien znaleźć zastosowanie w całym naszym kraju. Niestety — rzadko słychać o święcie sadzenia drzew, a szkoda, bo ma ono podwójne znaczenie: upiększa nasze drogi i ulice, pozbawione przeważnie tej tak pięknej ozdoby jak drzewa i zaprawia dziecko od młodości do poszanowania i opiekowania się swoją własnością, a tym samym uczy cenienia pracy swojej i innych.

Dyngus (śmigus) na wsi.

Rozmawiałem niedawno z pewnym nauczycielem, który od kilku lat urządza w miasteczku święto sadzenia drzew. Opowiadał mi o tem długo i szeroko, nie mogąc wychwalić się skutków.

— Przedtem plac przed szkołą i ulice w mieścinie świeciły pustką. Drzewka, jakie były poprzednio posadzone, wyłamano i wyniszczono; uczyniły to przeważnie te same dzieci, które teraz opiekują się z zajęciem i troskliwością młodemi sadzonkami. Ażeby pan widział ulice; drzewka rozrosły się aż miło, jaki piękny widok! Za kilka lat będziemy mieć śliczną aleję i to tylko dzięki opiece dzieciaków, które strzegą swoich drzew jak oka w głowie. Koszt i fatyga niewielkie, a przyjemność i pożytek duże!

Możeby teraz, kiedy zbliża się wiosna i odpowiednia pora do takich miłych uroczystości, głos owego nauczyciela trafił nietylko do uszów, ale i przekonania czytelników?

Wszak powiadają nawet, że o dobrej i złej gospodarce świadczą drogi i drzewa. Niechajby w całym naszym kraju dały one świadectwo, że i gospodarz i gospodarka są dobre!



Swobodny umysł i radość.

Swobodny umysł jest — *siłą duszy* w walce o byt, zaś — dbałość o zdrowie *najetyczniejszym warunkiem* — wesołości. Największem naszem szczęściem — powiada jeden z najsławniejszych filozofów, Schopenhauer — jest wesołość umysłu, bo ten dobry przymiot, natychmiast staje się naszą nagrodą. Kto jest wesoły, ma powód do tego, mianowicie stąd, — że jest wesołym... Nic tak zupełnie wszelkiego dobra nie zastępuje, jak właśnie ten przymiot, tak jak wesołości za nic w świecie niktby nie zamienił. Jeśli kto jest młodym, pięknym, bogatym, szanowanym, nasuwa się pytanie — czy jest też wesołym? Jeżeli zaś kto jest wesołym, obojętnem bywa czy on jest młodym lub starym, bogatym lub ubogim, jest — szczęśliwym.

Pewien grecki lekarz już przed dwoma tysiącami lat, opisywał w swych dziełach swoją wiarę w wartość śmiechu dla utrzymania zdrowia — i rzeczywiście — śmiech jest zdrowym! — Nic nie jest zdolnem ciało i ducha bardziej odświeżyć, jak taki „serdeczny", to jest z „serca pochodzący" wesoły śmiech. Jakby wesoły strumyk przepływa krew w naszem ciele. Kłopotami zorane czoło — wygładza się w wesołem towarzystwie, ponury wzrok traci swą ponurość, błyszczy, oczy się rozszerzają i — pięknieją. Można to często obserwować, zadawszy sobie trochę pracy. Kto w „walce o byt" uprzejme, wesołe usposobienie zachował, ten nawet w starości młodziej wygląda i zdrowszym jest, aniżeli ponury melancholik. Widocznie niezadowoleni ludzie, „szperający" za czemś niemiłem, a zazdrośni, sami sobie są winni, jeśli wyglądają na starszych niż są istotnie, bo nic nie żłobi zmarszczek tak wcześnie, nawet na pięknem obliczu, jak zawistny, zgryźliwy, skłonny do użaleń temperament. Swobodny umysł i wesoły, to środek uniwersalny „elixir" młodości.

Niezbędnym warunkiem jednak — wesołości — oprócz pielęgnowania zdrowia, jest dobra silna wola. Jeśli kto nie posiada temperamentu skłonnego do wesołości, musi go sobie silną wolą wyrobić, smutek przezwyciężyć, zgryźliwość — nawet ból serca otrząsnąć.

W humorystyczny sposób daje radę pewna angielska pisarka mówiąc: „złóż wszystkie troski na dno twego serca, następnie usiądź — na pokrywce i — śmiej się". Że silna wola dużo może, ażeby nawet nieszczęście zażegnać i smutek rozwiać — o tem niema dwóch zdań. Carlyle powiada: Nie to, co człowiek zewnętrznie posiada lub czego mu brak, tworzy jego szczęście, lub przeciwnie, ubóstwo, nędzę wszelkiego rodzaju, śmierć nawet, swobodnie się zniesie jeśli — serce w porządku".

Nie trzeba się też każdą błahostką rozdrażniać, w każdej rzeczy „trzeba chcieć" tylko dobre strony widzieć. „Szczęśliwy ten, kto w kłopocie życia zdobywa dobry humor". Uparcie należy się starać, by rozdrażnieniu nie ulegać.

Słyszymy często upominanie do pilności i pracy; powinniśmy też być upominani do wesołości, bo ona tylko czyni nas zdrowymi i silnymi, ułatwia pracę i — oddala — starzenie się.

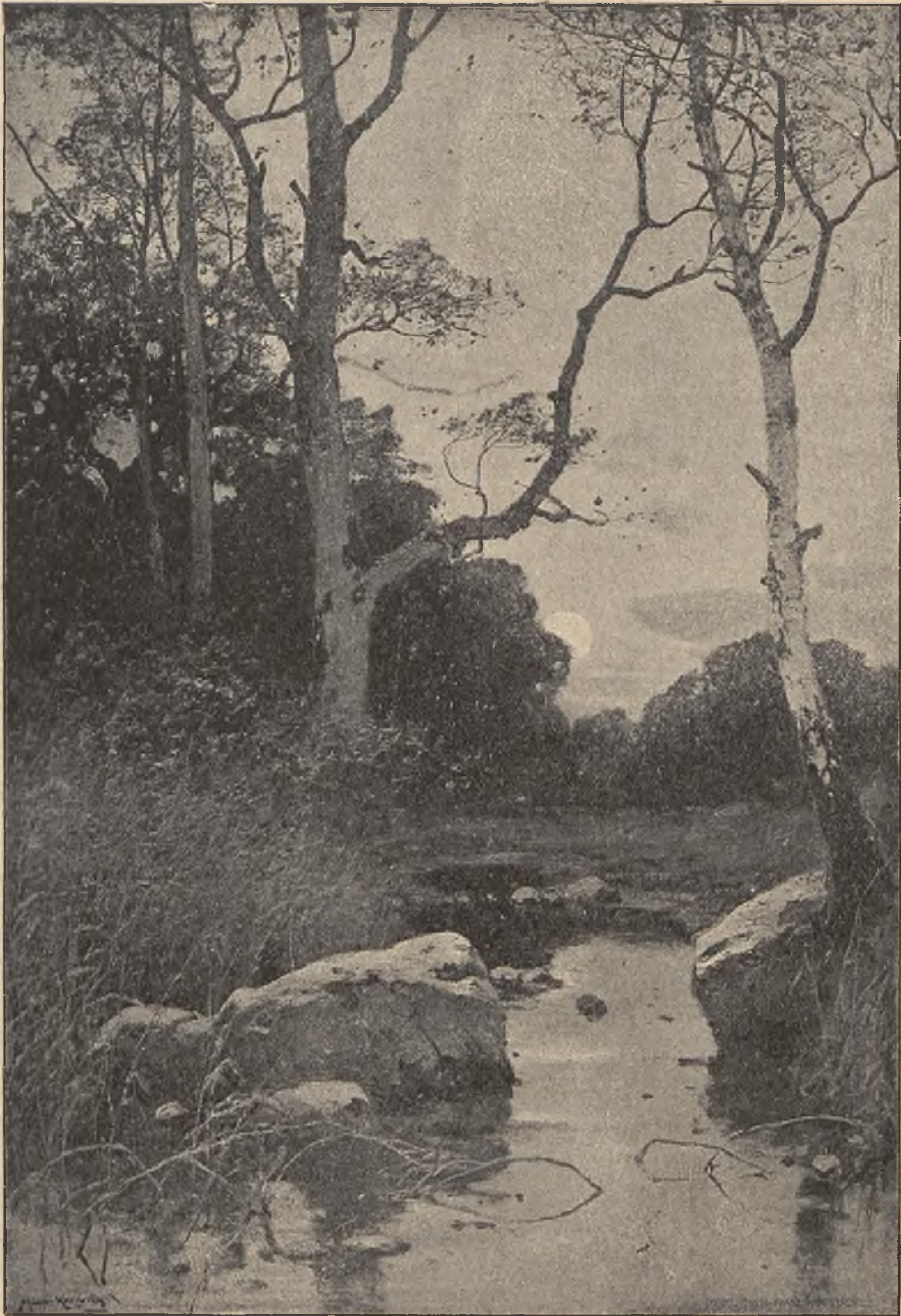


Ślady palców przy wykryciu zbrodni.

Do natrudniejszych zadań policyi śledczej należy swierdzenie tożsamości danej osoby. Dotychczas poprzestawano na fotografowaniu osób, uwięzionych pod zarzutem przestępstwa czy zbrodni, co w danym razie dawało możność rozpoznania recydywisty. Fotografie w dowolnej liczbie egzemplarzy można było rozsyłać po świecie i to z wszelką łatwością.

Należy nawet przyznać, że niejednego przestępcę wykryto za pomocą fotografii. A jednak procedura ta ma swoje słabe strony. Z biegiem lat każda niemal twarz znacznym ulega zmianom, nie mówiąc już o zmarszczkach nieuniknionych w późniejszym wieku, ale każde cierpienie fizyczne czy duchowe pozostawia na niej ślady, zarówno jak przypadkowe lub rozmyślne uszkodzenie, zmieniony zarost, a nawet zabiegi kosmetyczne, które mogą do niepoznania zmienić fizyonomię danego osobnika.

Dlatego też wprowadzenie pomiarów antropometrycznych przez A. Bertillona w Paryżu było już wielkim postępem na tej drodze i zdawało się, że prowadzi do zupełnie stanowczego stwierdzenia tożsamości osoby. Jednak w ostatnich czasach zaczęła wchodzić w użycie nierównie dokładniejsza metoda. Posiłkuje się ona niezmiernie delikatnemi liniami (włoskowatemi), zarysowanemi misternie na odwrotnej stronie końców palców u każdego bez wyjątku człowieka. Nader staranne i szczegółowe badania wykryły, że linie owe w ciągu całego życia pozostają niezmienione, a co najważniejsza, rysunek ich tak jest indywidualny, że w czasie kilku lat ostatnich nie natrafiono ani razu na 2 osoby, u których linie te byłyby identyczne.



Powiew wiosny.

Dlatego też, o ile w razie kradzieży czy innej zbrodni, na miejscu przestępstwa znajdą się ślady palców na drzwiach, szybie, nożu, kasetce lub na jakimkolwiek meblu politurowanym, to te dla wykrycia przestępcy ogromne mają znaczenie. Za pomocą specyalnego przyrządu robi się zdjęcie owych pozostawionych śladów, zarówno jak palców domniemanego przestępcy i następuje porównanie samego rysunku, poszczególnych linii i punktów, w których się one zlewają lub rozchodzą. Tożsamość linii daje się też stwierdzić za pomocą stereoskopu.

Ale najpewniejszy wynik daje bezpośrednie przyłożenie płyt fotograficznych, jedną do drugiej;



Żołnierz z roku 1812.

wtedy bowiem, o ile rysunek jest identyczny, otrzymuje się jedną odbitkę. Na miejscu zbrodni zdejmuje się z odcisku palcy fotograficzny pozytyw, na którym linie włoskowate wychodzą czarno, a z palców oskarżonego zdejmuje się tak zwany negatyw, na którym linie wychodzą biało, a tło jest czarne. Takim sposobem otrzymuje się najdoskonalsze pokrycie obu obrazów, na którem uwidocznione są najdrobniejsze szczegóły kierunku, oddalenia, podziału linii itp.

Płyty takie nieocenioną będą miały wartość przed sądem. Nie mówiąc już o sędziach fachowych, ale nawet każdego laika, czy to świadka, czy sędziego przysięgłego, namacalnie będą przekonywały o tożsamości odbitych palców.



Kobieta w Persyi.

Warunki życia kobiet perskich są wynikiem poglądów, które wszystkie narody Wschodu, wyznające Islam, wyrobiły sobie o sprawie kobiecej. Zasadą mahometan jest nie otwierać zbytnio oczu kobietom i w myśl tej zasady społeczeństwo perskie nie dba o szkoły dla kobiet. Z tego powodu kobieta, umiejąca czytać i pisać, należy nawet w najwyższych sferach do bardzo nielicznych wyjątków. To też, jeżeli żona chce napisać list do męża, odbywającego podróż, musi się udać do ulema, z prośbą o napisanie listu, lub też o odczytanie otrzymanej korespondencyi. Następstwem tak niskiego stopnia kultury kobiet perskich jest wielka skłonność do przesądów i zabobonów.

Wychodząc na ulicę, otula się płaszczem niebieskim, a twarz osłania szczelnie zasłoną, opatrzoną tylko dwoma otworami na oczy. Ponieważ płaszcze, noszone przez kobiety perskie, są wszystkie tej samej barwy i zrobione z tej samej materyi, przeto zdarza się nieraz, że nawet najbliżsi krewni nie poznają na ulicy swych kobiet. Udając sie w odwiedziny, malują sobie kobiety perskie twarz czerwoną substancyą i czernią brwi i rzęsy antymonem. Niektóre czerwienią henną nawet palce, paznogcie i nogi, a wreszcie włosy splatane w długie warkocze. Jak każda kobieta Wschodu, ma kobieta perska wielkie upodobanie w strojeniu się świecidełkami; wiele zaś z nich pali fajki.

Kobiety, należące do wyższych klas, utrzymują zażyłe stosunki z sobą, odwiedzając się nawzajem i dlatego to bardzo często można spotkać na ulicach miast perskich gromadki nieraz kilkunastu kobiet, spieszących razem na przyjęcie do przyjaciółki. Gdzie kobiety się gromadzą, nie wolno tam pokazać się żadnemu mężczyźnie, a to samo prawo obowiązuje kobiety w stosunku do zebrań mężczyzn. Gdy dwie kobiety chcą porozumieć się na ulicy, muszą usunąć się z drogi w ustronne miejsce, albowiem koran nie dozwala, by głos kobiety był słyszany na ulicy.

Kobiety klas niższych pracują i to bardzo ciężko. Wieśniaczki zajmują się nietylko pracą w domu, ale także trudnią się gospodarstwem rolnem. Kobiety klas średnich spędzają natomiast życie na tkaniu dywanów, słynnych w całym świecie.

Wielożeństwo istnieje w Persyi tylko w sferze ludzi zamożnych. Ubogi Pers zadowala się w zasadzie tylko jedną żoną, a natomiast trzyma w swym



U źródła Westy.

Westa — to w starożytnym Rzymie czczona wielce bogini niewinności i ogniska domowego, bogini rodzinnej zgody i opiekunka całego domu. Kapłanki w świątyniach bogini Westy, nazywano **westalkami.** Ślubować one musiały utrzymanie dziewiczej czystości przez lat 30: jeżeli ślubu tego która z nich nie dochowała, natenczas czekało ją zamurowanie żywcem.

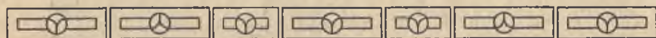
domu niewolnice, jeżeli oczywiście pozwalają mu na to stosunki materyalne.

Małżeństwa bywają zawierane w bardzo wczesnym wieku przez rodziców, a bez wiedzy młodej pary.

Panna młoda otrzymuje posag zupełnie jak w społeczeństwach zachodnich. Rzecz oczywista, że wiele małżeństw w takich warunkach zawartych jest nieszczęśliwych. A ponieważ znane są w Persyi rozwody, więc zło bywa nieraz usunięte. Rozwód następuje w ten sposób, że mąż, niezadowolony z żony, oświadcza jej w obecności dwu świadków, iż jest wolna.

Po tem oświadczeniu żona bawi jeszcze miesiąc w domu męża, aby upewnić się, czy nie znajduje się w błogosławionym stanie, poczem wraca do rodziców; mąż jest obowiązany wrócić posag. W wypadku, gdy żona jest stroną, żądającą rozwodu, musi zwrócić się ona o interwencyę do kapłana.

O ile wreszcie żona uważana jest przez męża za niewolnicę, gdy nie ma dzieci, o tyle znowu cieszy się jego szacunkiem, gdy obdarzy go potomstwem i dlatego to najgorętszem życzeniem kobiety perskiej jest mieć dzieci, któremi się zadawala w zupełności nawet wówczas, gdy mąż żyje w zupełnem od niej odosobnieniu.



Złote ziarna.

W każdem życiu jest nieco blasku słonecznego, ale często bywa on taki zimny, jak odbicie światła, które do mieszkania na północ położonego wpada z szyb naprzeciwko.

Godnym pożałowania jest człowiek, którego chleb posmarowany jest masłem z obu stron.

Natura jest jedyną kobietą, która nie zwierza się ze swych tajemnic.

Kto nie może dokazać niczego w praktyce, uważa się zazwyczaj za wielkiego teoretyka.

Nie tych winniśmy się obawiać, którzy z nami otwarcie walczą, lecz tych, którzy nas omijają.



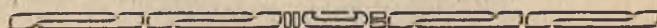
Aeroplan.

Rozwiązanie problematu latania. — Latanie ptaka i aeroplan. — Przyszły aeroplan.

Przytaczamy tu głos cenionego fachowca, belgijskiego kapitana piechoty A. C. de Vosa, który opublikował interesującą prace o locie ptaka.

De Vos powiada, że rozwiązania problematu latania, obecnie gwałtownie starają się doszukać w aeroplanie i w śrubie. Przyroda nie dała ptakom powodować ruch oscylacyjny z góry do dołu i od przodu ku tyłowi i te cudowne stworzenia, które z pewnością powinny nam służyć jako wzory, wszyskie latają, bijąc powietrze swojemi skrzydłami. Tymczasem szczególniej sądząc z wspaniałych prób zeszłorocznych okazało się, że przez bicie skrzydłami lub płaskiemi powierzchniami wzlot mechaniczny nieda się osiągnąć. Jest faktem, że ruch oscylacyjny nie jest dobrą zasadą mechaniczną i nie zdaje się właściwym do stosowania go z korzyścią do maszyny latającej. Z drugiej strony wprawdzie ptak nie jest opatrzony w śrubę i porusza się naprzód bez kwestyi z pomocą innego mechnizmu, który dziś jeszcze pomimo najuczeńszych doświadczeń jest jeszcze zagadkowym i tajemniczym; mimo to byłoby teraz zupełnie nie na miejscu mówić o zastąpieniu śruby przez jakiś organ odpowiedniejszy. Nie dążąc więc bynajmniej — jak powiada kapitan de Vos do uszczuplania zasług awiatyki i przy zupełnym podziwie dla zdobyczy Farmana i Wrighta trzeba skonstatować, że te maszyny nawet w porównaniu do nędznego owadu, muchy lub bąka, nie mówiąc już o porównaniu z orłem bujającym w wysokich sferach powietrznych — są niczem. Wyższość przyrody nad wszelkiemi wynalazkami ludzkiemi jest bezsporną; organy ptaka są do prędkości równowagi i lekkości ruchów nieskończenie wyższe od najznakomitszych zdobyczy współczesnej mechaniki. Kapitan de Vos sądzi, że dotychczasowe ujemne rezultaty, które osiągnięto ze sztuczną oscylującą płaszczyzną, mają tę przyczynę, że jeszcze jesteśmy zupełnie nieświadomi co do dokładnej mechaniki lotu, pomimo wszelkich dotychczasowych badań na tem polu. Aż do zupełnego zbadania tego punktu jest pewnem, że wyższość naturalnych bijących powietrze skrzydeł polega na ich giętkości i elastyczności, przymiotach nadających ruchowi tam i napowrót nieprzerwaną stałość, jakiej sztywne sztucznie bijące skrzydło mieć nie może.

(Dokończenie nastąpi.)



OSOBLIWOŚCI PRZYRODY.

Siedm lat bez deszczu.

Gdzie jest najsuchsza przestrzeń na kuli ziemskiej? Wiedzą wszyscy zapewne, że w Ameryce południowej istnieje okolica, w której prawie nigdy nie pada deszsz. Jakaś ulewa od czasu do czasu i na tem koniec, a nawet czasami tylko mały deszczyk przepada. Suchszym jednakże zakątkiem jest okolica w pobliżu miasteczka Payta w Peru pod piątym stopniem szerokości południowej, gdyż przeciętnie upływa siedm lat od jednej zlewy do drugiej! Czasami lata całe czekają ziarna, ukryte w ziemi, zanim powoła je do życia dobroczynny deszcz. Możnaby rzec, iż tu drzewa nauczyły się obchodzić bez wody. W kraju tym żyje krzew bawełny o niezmiernie długich korzeniach, a mogący żyć siedm lat w wysuszonem łożysku rzeki.

Wpływ światła na krew.

Uczeni zbadali, że ciemność umniejsza ogólną ilość krwi o 3 do 3·3 procent i zmniejsza też ilość jej w sercu. Światło czerwone działa podobnie jak ciemność, niebieskie zaś światło wywołuje przepełnienie krwią naczyń krwionośnych i pomnożenie jej w sercu. Kąpiel świetlna może w ciągu czterech godzin powiększyć ilość krwi o 25 procent, Ciemność umniejsza ilość krwi w sercu w przeciągu trzech do czterech tygodni, światło natężone w ciągu czterech godzin. Ciemność podnosi ciśnienie krwi, światło natężone zmniejsza je. Zwierzęta, zrodzone w ciemności, lub w świetle czerwonem, mają większą wagę, lecz zato o połowę krwi mniej, aniżeli zwierzęta, zrodzone w normalnych warunkach.

Cukier jako lekarstwo.

Cukier jest znakomitym środkiem odżywczym dla zwierząt, a zwłaszcza dla tych, które nie miały przez dłuższy czas dostatecznego pożywienia i przez to straciły część swojej ciepłoty. Jedna trzecia łuta cukru wywołuje u zwierzęcia już w ciągu dziesięciu lub piętnastu minut podwyższenie ciepłoty ciała Po jednej do dwóch godzinach osięga temperatura potrzebny stopień najwyższy i ustala się na czas jakiś, stosownie do ilości spożytego cukru. Działalność chleba jest zupełnie odmienna pod pewnymi względami; ciepłota podnosi się daleko powolniej od chleba, niż od cukru, a u zwierząt nie bardzo wycieńczonych głodem i z niebardzo niską temperaturą jest ten przybytek nader szybki. Zgadza się więc to doświadczenie z przypuszczeniem, że chore zwierzę przyswaja sobie łatwiej cukier aniżeli chleb. Pewien uczony uratował cukrem życie psu, który już prawie ginął, podczas gdy nie udało mu się uratować innych, którym dawał pokarmy białkowate.

h. f.



DLA NASZEJ DZIATWY.

Miłość Ojczyzny.

Całem mem sercem, duszą dziecinną,
Kocham tę świętą ziemię rodzinną,
Na której moja kołyska stała,
I której dawna poi mnie chwała.
Kocham te barwne kwiaty na łące,
Kocham te łany kłosem szumiące,
Które mnie karmią, które mnie stroją,
I które zdobią ojczyznę moją.
Kocham te góry, lasy i gaje,
Potężne rzeki, ciche ruczaje;
Bo w tych potokach, w wodzie u zdroja,
Ty się przeglądasz, Ojczyzno moja,
Jakby w lustrzanej szybie oddana,
Taka prześliczna i tak kochana.

W. Bełza.

Z Bogiem.

Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa!
Tak mawiali starzy;
Kiedy wezwiesz tej pomocy,
Wszystko ci się zdarzy.

Masz się uczyć, choć niewiele,
Wezwij zawsze Boga,
On oddali myśli płoche
I pilności wroga.

Idziesz w pole, masz siać zboże,
Z Bogiem zacznij pracę;
Bóg powiedział: „Rąk dokładaj,
Ja cię ubogacę.“

Idziesz w drogę, chociaż blisko,
Z Bogiem wychodź z progu,
A gdy wrócisz z niej szczęśliwie,
To podziękuj Bogu.

Z Bogiem, z Bogiem każda sprawa!
Tak mawiali starzy;
Kiedy wezwiesz tej pomocy,
Wszystko ci się zdarzy.

W. Pol.

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,
wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Ciąg dalszy).

Przygniatające milczenie zaciężyło nad nami. Jasnem było, że wszyscy obecni, doznają tego samego uczucia. Zresztą, była to niedorzeczność, nic bowiem w zachowaniu się tego pana nie upoważniało do podejrzeń.

— Dlaczego nie odpowiadam? — powtórzył. — Dlatego, że wziąwszy pod uwagę moje nazwisko, kolor włosów i fakt, że podróżuję samotnie, doszedłem do tego samego wyniku. Proponuję zatem, aby mnie aresztowano natychmiast.

Wymówił powyższe słowa z dziwnie komicznym wyrazy twarzy. Wąskie jego wargi, więcej się jeszcze zwężyły i pobladły. Na białka oczu wystąpiła krwawa siatka.

Stanowczo żartował. Lecz twarz jego i całe zachowanie się zrobiły na nas wrażenie.

Miss Nelly zapytała naiwnie:

— Ależ pan nie ma rany na ręku!

— Prawda, rany mi brakuje.

Nerwowym ruchem zerwał mankiet, odsłaniając ramię. W tej samej chwili uderzyła mnie jedna myśl. Oczy moje spotkały się oczami miss Nelly: pokazał ramię lewe!

Chciałem szczegół ten podkreślić, gdy nagle uwaga nasza skierowała się w inną stronę. Na pokład wpadła lady Jerland, przyjaciółka miss Nelly.

Była wzburzona. Wszyscy się rzucili ku niej. Z wielkim trudem zdołała wykrztusić:

— Moje perły... moje klejnoty... skradziono mi wszystko!

Nie, nie skradziono wszystkiego, jakeśmy się o tem przekonali wkrótce. Rzecz ciekawa niesłychana: złodziej wybierał!

Z brylantowej gwiazdy, z medalionu, ozdobionego rubinami, z naszyjników i połamanych bransolet powyjmował kamienie, i to nie największe, a tylko najpiękniejsze, najkosztowniejsze, które, przedstawiając najwyższą wartość, zajmowały jak najmniej miejsca. Oprawy leżały przed nami, na stole. Widziałem je... widzieli je wszyscy. Odarte z klejnotów wyglądały jak kwiaty, którym poobrywano lśniące, barwne płatki.

Dla wykonania tego dzieła wystarczyła jedna godzina, gdy lady Jerland piła herbatę. W tak krótkim przeciągu czasu trzeba było w biały dzień, w korytarzu, gdzie się kręciło pełno ludzi, wyłamać drzwi kajuty, odnaleźć małą torebkę, tendencyjnie ukrytą na dnie pudełka do kapelusza, otworzyć ten woreczek i wyjąć klejnoty.

Jeden okrzyk wydarł się ze wszystkich piersi. Gdy się rozniosła wieść o wypadku, pasażerowie zdecydowali, że winowajcą, jest Arseniusz Lupin. Istotnie, była to kradzież zupełnie w jego stylu: skomplikowana, tajemnicza, niepojęta, a zarazem niesłychanie logiczna, jeżeli bowiem trudną byłoby rzeczą znaleźć bezpieczne miejsce dla wszystkich klejnotów, o ileż łatwiej ukryć pojedyńcze perły, szmaragdy, szafiry.

Przy obiedzie okazało się, że miejsca na prawo i na lewo od pana Rozaine były niezajęte. Wieczorem dowiedzieliśmy się, że był on wzywany do kapitana. Zdawało się, że uwięzienie jego nie ulega wątpliwości. Wszystkiem kamień spadł z serca. Odetchnęliśmy lżej.

Tego wieczora bawiliśmy się w gry towarzyskie. Nawet tańczono. Miss Nelly szczególniej była w wyśmienitym humorze, co upoważniło mnie do przypuszczeń, że jeśli hołdy p. Rozaina sprawiały jej pewną przyjemność, zapomniała już o tem zupełnie. Wdzięk jej oczarował mnie do reszty. O północy, przy świetle księżyca zapewniałem ją o swym głębokiem uczuciu. Wzruszenie moje zdawało się jej podobać.

Nazajutrz, ku ogólnemu zdumieniu, dowiedzieliśmy się, że Rozaine jest wolny. Obciążające go dowody okazały się niedostateczne.

Rozaine był synem bogatego przemysłowca z Bordeaux. Wszystkie papiery miał we wzorowym porządku. Przytem, na obu rękach ani śladu rany.

— Ba! Papiery! Akt urodzenia — zawołali nieprzyjaciele Rozaine'a — ależ Arseniusz Lupin dostarczy wszelkich dokumentów, jakich kto zapragnie! Co się tyczy rany, to albo jej nie odniósł wcale... albo też zatarł umiejętnie ślady!...

Ktoś zarzucił, że w czasie, gdy popełniono kradzież, Rozaine znajdował się na pokładzie. — Fakt ten stwierdzono!

Na to przeciwnicy odpowiedzieli:

— Czyż złodziej tej miary, co Arseniusz Lupin potrzebuje koniecznie być obecnym przy kradzieży, którą zamyślił?

Zresztą, odrzucając wszelkie insynuacye, pozostawał punkt jeden, którego najwięksi sceptycy skrytykować nie mogli: kto, z wyjątkiem Rozaine'a, podróżował samotnie, był blondynem i nosił na-

zwisko, zaczynającej się od litery R? Kogóż więc, jeśli nie jego wskazywał telegram?

Gdy Rosaine na kilka minut przed śniadaniem skierował się ku naszej grupie, miss Nelly i lady Jerland odeszły.

Poprostu się bały.

W godzinę później pisany cyrkularz obiegał statek, przechodził z rąk do rąk, zawiadamiając urzędników, marynarzy, pasażerów wszystkich klas, że Ludwik Rozaine obiecuje dziesięć tysięcy franków nagrody temu, kto zdemaskuje Arseniusza Lupina, lub odnajdzie skradzione klejnoty.

— Jeżeli nikt mi nie przyjdzie z pomocą — oświadczył kapitanowi młody przemysłowiec, rozprawię się z bandytą sam.

Rozaine występował przeciwko Arseniuszowi Lupin, a raczej — jak ktoś dowcipnie określił — Arseniusz Lupin przeciwko Arseniuszowi Lupin! Walka zapowiadała się ciekawie.

Trwała całe dwa dni. Rozaine wałęsał się na prawo i lewo, kręcił się między załogą, rzucał pytania, szperał, wywiadywał się. Nawet w nocy, jak cień, snuł się po statku.

Kapitan ze swojej strony rozwinął najgorętszą energię. Przetrząśnięto „Prowancyę“ od góry do dołu. Przeszukano wszystkie kajuty bez wyjątku, pod pozorem, że skradzione klejnoty mogły być ukryte wszędzie, oprócz kajuty złodzieja.

— Gdyby nawet był czarnoksiężnikiem, nie mógłby pereł i brylantów uczynić niewidzialnemi. Muszą w końcu coś znaleźć, nieprawdaż? — pytała miss Nelly.

— Owszem — odparłem — lecz w takim razie należałoby zbadać najstaranniej woreczki naszych kapeluszy, podszewki marynarek i całe ubranie.

Wskazując swój kodak 9×12, przy pomocy którego fotografowałem ją bez znużenia w najrozmaitszych pozach, dodałem:

— Czy nie przyszło pani na myśl, że w tak małym pudełeczku znalazłoby się dosyć miejsca dla ukrycia wszystkich klejnotów lady Jerland. Zdejmowanie widoków to pretekst doskonały!

— Zawsze jednak słyszałam, że każdy złodziej zostawia za sobą jakieś ślady.

— Z wyjątkiem jednego: Arseniusza Lupin.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — Prawdopodobnie dlatego, że myśli nietylko o kradzieży, którą popełnia, lecz i o wszystkich okolicznościach, któreby go wydać mogły.

— Z początku miałeś pan więcej wiary.

— Tak, lecz później zobaczyłem go przy robocie.

— A więc, zdaniem pana?

— Mojem zdaniem, tracimy tylko czas.

Istotnie, wszelkie poszukiwania okazały się bezowocne, a raczej odniosły skutek wręcz przeciwny usiłowaniom ogółu: zginął zegarek kapitana.

Kapitan, wściekły z gniewu, podwoił gorliwość i pilniej jeszcze śledził Rozaine'a, którego kilkakrotnie poddawał indagacyi.

Nazajutrz — o ironio! — znaleziono zegarek pomiędzy kołnierzykami pomocnika kapitana.

Wszystko to nosiło charakter cudowności, zdradzając rodzaj rzemiosła humorystyczno-dyletancki, właściwy Arseniuszowi Lupin. Znać było, że złodziejstwo traktuje nietylko jako zawód, lecz uprawia je z powołania, dla rozrywki. Wywierał wrażenie człowieka, który sam bawi się sztuką, z jego woli odgrywaną przez innych, a za kulisami śmieje się do rozpuku z pomysłów i dowcipnych sytuacyi, których sam jest autorem.

Stanowczo był to artysta w swoim rodzaju. Obserwując milczącego, posępnego Rozaine'a, myślałem o podwójnej roli, jaką odegrywa i nie mogłem się powstrzymać od podziwu.

Przedostatniej nocy oficer służbowy usłyszał jęki, dochodzące z najciemniejszego kąta pokładu. Podszedł natychmiast. Na ziemi leżał jakiś człowiek z głową owiniętą szarym grubym szalem, z rękami związanemi cienkim sznurem.

Uwolniono go z więzów, podniesiono z ziemi, nie szczędząc troskliwych starań.

Był to Rozaine.

Rozaine, napadnięty, zbity i obdarty, podczas jednej ze swych nocnych wypraw. Do ubrania jego przypięty był bilet wizytowy ze słowami: „Arseniusz Lupin, przyjmuje z wdzięcznością dziesięć tysięcy franków od pana Rozaine“.

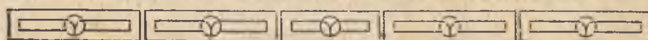
W rzeczywistości skradziony pugilares zawierał dwadzieścia tysięcy franków.

Naturalnie oskarżono nieszczęśliwego o napad fikcyjny. Okazało się jednak, że związać samego siebie w ten sposób było niemożliwością absolutną... Co więcej, pismo jego różniło się najzupełniej od pisma na bilecie wizytowym, które do złudzenia przypominało pismo Arseniusza Lupin, podane w jakimś dzienniku, znalezionym na pokładzie.

Tak więc Rozaine przestał być Arseniuszem Lupin. Rozaine był to Rozaine, syn przemysłowca z Bordeaux.

Obecność Arseniusza Lupin na „Prowancyi“, stwierdzoną została raz jeszcze... W jak straszny sposób!...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Rozwiązanie zagadek

zamieszczonych w nr. 11-tym „Tygodnika Narodowego":

1. **Mandolina.**
2. **Rum.**

Trafne rozwiązanie nadesłali P.P.: Tadeusz Aurzecki, Wład. Bauer, Stefania Bentke, ks. Bienko, Wiktor Bazanowski, Michał Chciuk, M. Cieśla, Czytelnia św. Kunegundy, Karol Dziura, Wład. Danko, Wład. Dubaj, ks. Floryan, Roman Fiszer, Feliks Goliński, Miecz Hojdys, Marya Hoszowska, Józef Głuszczak, Ed. Gibisz, Lambert Grosse, Wład. Gozdowski, Jan Gawron, Józef Hemmerling, Jan Habela, Emilia Hryciewiczówna, Stef. Hatschir, Wal. Jankowska, Helena Jaroszówna, Józef Janiczak, Hipolit Jurkiewicz, Marya Kwaśniewska, Henryk Królicki, Eug. Kubinówna, Józefa Ketinówna, Stan. Maryan Karaś, Otylia Kasteńska, Roman Kulczycki, Alex Kozłowski, Józef Kaspruś, Gabryel Leńczyk, Roman Łazarewicz, Marya Mniszewska, Franc. Makowiec, Helena Michalikówna, Franc. Maciaś, Józef Siła Nowicki, ks Winc. Osikowski, Jan Piątkowski, Jan Pyszko, Józef Pieszczoch, L. Podolska, Stan. Pec, Henryka Rychlik, Jan Ramułt, Ludwik Rożałowski, ks, Franc. Rączka, Helena Różycka, Ludwik Rola, Stan. Szostak, Bron. Szkaradkówna, Tadeusz Szeliga, Franc. Szewczyk, Antoni Stawiarczyk. Adam Świerkosz, Suchecki, Stan. Sierosławski, J. Steindl, Wład. Strawiński, Wład. Trybała, M. Waldek, Józef Wiktorowski, T. Weseli, Stefania Wdówkówna, Stan Zadoń.

Jan Juglut, Wł. Kasprzycki, Helena Mycon, Jan Machnica, Magiera, Maryś Ostafiński, Franc. Szmater, klasztor SS. Urszulanek, Franc. Urban, Józefa Wilkoniówna.

Nagrodę otrzymali P.P.: *Czytelnia Górnicza św. Kunegundy* w Wieliczce, *L. Podolska,* Przemyśl, ks. *Wincenty Osikowski* w Hyżnem.

Zagadki z nagrodami.

Zagadki huculskie.

Zagadka 1.

Idzie w lesie bez brzasku, idzie w wodzie bez plusku?

Zagadka 2.

Beczułka bez obręczy i bez dna, a pełna wina, nie naprawi jej żaden bednarz na świecie — ?

Zagadka 3 (łamigłówka.

a. ce. cy. da. e. i. ko. kra. ków. gła. li. o. ra. na. wa. wies. wal. wid.

Z powyższych zgłosek ułożyć 8 wyrazów, których początkowe litery z góry na dół dadzą imię sławnego męża z czasów najazdu Szwedów na Częstochowę.

Znaczenie wyrazów:

1. Główne miasto w zachodniej Galicyi nad Wisłą. 2. Gatunek zboża. 3. Skaleczenie ciała. 4. Zwycięzca Goliata. 5. Pierwsza kobieta na świecie. 6. Imię świętej. 7. Rzemieślnik. 8. Narzędzie do szycia.

Za trafne rozwiązanie *wszystkich* zagadek wyznacza Redakcya „Tygodnika Narodowego" **trzy nagrody** i to:

I. nagroda: **Wspaniałe Album Jubileuszowe „Grunwald",** 336 stron druku i stokilkadziesiąt obrazków w bogatej oprawie. Cena księgarska 13 koron.

II. i III. nagroda: **Album Wojska Polskiego** z r. 1830/31 z kolorowemi ilustracyami.

Rozwiązania nadsyłać należy do 10 kwietnia na ręce redakcyi „Tygodnika Narodowego" w Krakowie, ul. Wiślna 2. (róg Rynku). W drugiej połowie kwietnia nastąpi losowanie nagród.

Nazwiska wszystkich abonentów, którzy trafnie rozwiążą zagadki, oraz tych, którym przypadnie nagroda, ogłosimy w „Tygodniku Narodowym".

O nagrodę ubiegać się mogą tylko abonenci „Tygodnika Narodowego". Na dowód prosimy załączyć kwit na drugi kwartał, jaki wydaje poczta, wysyłającym przekaz pieniężny do Administracyi.

NR 13

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Nie wszystkim wszakże z tych rycerzy ostatnich starej Polski, co za nią walczyli i cierpieli, danem było dla niej umierać i świadectwo dać na wygnaniu.

Radziwiłł przejednał się i powrócił nawałęsawszy się po świecie, po drogach, które wysypał złotem, zdumiewając tą milionową nędzą; wrócił Ogiński, przebolawszy w Królewcu i Dreznie i Włoszech przegraną Stołowicką i utracone toaletowe przybory.

Wrócili inni, cichaczem jednając się z królem, który tak był grzeczny dla wszystkich i tak wymowny, że na podłość nawracać umiał nawet najupartszych.

Wracali możni, tułali się ubodzy, i ci co wierzyli, że kiedyś z zastępem Bożych mścicieli powrócą na oswobodzoną ziemię.

Słodził się on gorzki chleb wygnania temi nadziejami z obłoków, którym każdy dzień kłam zachował, a każde je odradzało jutro.

Któż zliczy!

To pierwsze tułactwo polskie było jeszcze pełnem nadziei; nikt nie rozwiązywał sakiew podróżnych i nie siadał do pracy; czekano u drzwi Polski cudownego jutra. Tułactwo to nie miało jeszcze tej nędzy i goryczy, jakie się czuć dały następnym — nigdzie nie odmawiano przytułku, wszędzie zmuszano się do współczucia, nie okazywano obawy, a gościnność była, jeśli nie serdeczną to głośną i pokaźną.

Wędrowcy na każdy powiew wiatru od ojczyzny zrywali się, sądząc, że wieść swobody przyniesie i starzeli się tak po gospodach, na popasach; marli w oczekiwaniach. Ale głód przynajmniej nie doskwierał, a nadzieje, tak jeszcze były żywemi!

Zdawało się, że ten bezprzykładny dramat rozdarcia kraju, który rozbrojono naprzód, aby mu siłę odebrać — któremu dano króla porcelanowego, aby go jednem trąceniem dłoni rozbić można — wywoła oburzenie, zawezwie świat do sądu przysięgłych na zbrodnią.

W tysiącu obrazach i pamfletach rozeszła się po świecie historya rozbioru Polski, ale ten placek królów, jak go nazwali Anglicy, spożyty został bez przeszkody.

Strawić go tylko do dziś dnia nie mogą...

Rozproszone dzieci, jak po zburzeniu Jerozolimy, lud niegdyś wybrany — pociągnęły na tułactwo wiekowe.

Było to w drugiej połowie sierpnia 1777 roku.

Na rozkołysanych falach Oceanu Atlantyckiego, zgubiony wśród niezmiernych przestrzeni, sam jeden na całym widnokręgu — biegł ku brzegom Nowego Świata, statek francuski, La belle Louise.

Wieczór się zbliżał, powietrze duszne było i gorące, słońce piekło jak ogniem, na umysłach i ciałach ciążąc ołowiem, chociaż chwilami zrywał się wiatr silny, lecz parny i rozpłomieniony, dodawał żaru nie chłodził.

Majtkowie ściągali żagle powoli. Mimo, że niebo jasne było jeszcze i wypogodzone szeroko, ale dla doświadczonych oczów marynarzy zwiastowała się już burza nadejść mająca nocą... kilka smug ciemniejszych, kilka kłębiastych obłoków rozściełało się w dali na jaskrawem niebie zachodu.

Ptastwo morskie niespokojnie latało dokoła okrętu nisko, a dwa rekiny, oddawna płynące w ślad za piękną Ludwiką, wychylały niekiedy głowy nad zburzone fale, jakby upatrywały rychło im krucha łupina okrętowa — ofiary wyrzuci.

Z rachunku kapitana statku Leclerc, starego morskiego wilka — jak go zwali podwładni — i z licznych, niewątpliwych oznak zwiastujących dla żeglarzy zbliżanie się do lądu, wnosić już było można, iż statek wprędce swej dwumiesięcznej dokona podróży.

Szczęśliwie dosyć przebył on niebezpieczną żeglugę, ale tu u kresu gromadziły się trudności i niebezpieczeństwa.

Dokoła tych brzegów, poza któremi wrzała walka zajadła pomiędzy krajem, który swą niezawisłość ogłosił, a starym jego panem co mu jej odmawiał — krążyły niepoliczone statki Anglii dumnej ze swej niezachwianej dotąd przewagi na morzu, broniąc przystępu, szczególniej okrętom płynącym z Francyi, wiozącym pomoc, otuchę, nadzieję...

Wszystko co tu zmierzało, podejrzywano o współczucie dla buntu, a posiłkowanie niepodległych kolonistów.

Łatwiej było przepłynąć ocean, niż uniknąć na wodach Ameryki spotkania z korsarskiemi statkami i flotą Wielkiej Brytanii, która niosła na flagach swych sławę niezwyciężonej.

Burza widocznie nadciągająca i owo przeczucie statków krążących u wybrzeżów — chmurą powlokły czoło kapitana pięknej Ludwiki, który z ogorzałą twarzą swą, posępną, milczącą, pokazywał się z kolei wszędzie, gdzie coś wykonać było potrzeba. To się przyglądał mglistej dali w stronie, od której ziemię się ujrzeć spodziewał; to patrzał po wodach oceanu rozkołysanych już i wzdętych. Dano rozkaz zwijania żagli, gdyż nocą niepodobna było zbliżać się do lądu.

Noc tę burzę kazała przebyć jeszcze na rozkołysanych falach, walcząc ze zburzoną głębią... a potem pozostawało jeszcze potłuczonym może szczątkom zdążyć do przystani ściganym przez angielskie kule.

Nie dziw, że wobec takiej przyszłości groźnej kapitan był ponury i zadumany.

Na pokładzie statku siedziało w milczeniu posępnem kilku ludzi. — Byli to podróżni już znużeni długiem morza kołysaniem, oczy ich pożądliwie wyglądały ziemi, ziemi nieznanej, ziemi swobody — dla wielu z nich tylko ojczyzny złota, gdzie człowiek mógł się sprzedać korzystnie.

I tu, jak wszędzie, sprawa wielka wolności ciągnęła ku sobie najczystszych bohaterów i tych, co na świecie nawet honoru już do stracenia nie mieli.

Wypowiedział wielki wieszcz wieków (Dante) tę jedną z najsroższych boleści tułactwa, iż szlachetne serca brzemię jego na współ nosić muszą obok społeczeństwa wyrzutków. Iść potrzeba z pokorą tą drogą skutym ze zbrodnią i podłością często dla większej jeszcze ofiary.

I ten okręt płynący ku Ameryce wiózł jej w swem łonie zwykły kontyngens bohaterstwa i nikczemności.

Na pokładzie w jednym kącie siedzieli smutnie i poważnie ludzie umiejący życie dźwigać godnie, w drugim kręcili się niespokojni ci, którym pilno było tylko wyjść cało, a przehandlować się drogo.

Statek prawdopodobnie miał doścignąć lądu pomiędzy Karoliną północną, a nowym Jersey, a tu właśnie około ujścia Delawary kręciły się obficie angielskie rozbójniki.

Ściśnięci w gromadkę, pół siedząc, pół leżąc na zwojach lin okrętowych i rzuconych płaszczach, gwarzyli cicho polscy wygnańcy, to znów długiem milczeniem wypoczywali.

Byli to Kazimierz Pułaski, Karol Pluta i Maciej Rogowski.

Pierwszy znich, mąż jasnej myśli, wielkiej ducha potęgi, teraz się zdawał złamanym i przybitym więcej, niż w ciągu całej podróży, w której

sam drugich znużenie krzepił, zniechęcenie rozpraszał, nadzieje podtrzymywał.

Nie patrzał on w tę stronę, od której ląd nowego świata miał się im wkrótce pokazać, ale w przeciwną jakby po za przebytym oceanem szukał snu, choćby straconej ojczyzny.

Na tym statku, co ich niósł od niej, czuł się jeszcze prawie w Europie, jakby w jakimś domu szczątku; za dzień, za dwa miał już stopą dotknąć nieznanego świata, ziemi wolności, ale zarazem wygnania.

Wszystkie odpędzane tęsknice po kraju rodzonym, po przeszłości ze świateł i cieni utkanej, cisnęły się ku niemu, obsiadały piersi, zawisły na czole, przygniatały myśl znękaną.

Niekiedy rzadki gość na męzkiej powiece, łza się zakręciła w oku i nikła spalona. Usta czasem nieprzytomne, machinalnie poczęły jakby modlitwę, a myśl nadbiegła i ołtarz ów obaliła. Uśmiechało się lice i oblekało żałobą, krew napływała i uciekała od serca, jakby zapowiadająca się burza już i niem miotała.

Co też przeżył ów złomek człowieka od tej godziny, gdy z krzyżem na piersi, wyszedł z ojcem i braćmi do Baru? Upokorzenie, zwycięstwo nieprzyjaciół, niechęci i waśnie od swoich, zdrady, potwarze i ohydę. Ojciec zmarł, dobity niemi, bracia życie oddali w sprawie świętej, on jeden, gdy miał się pogrzebać żywcem w gruzach twierdzy... rozkaz z góry wytrącił mu miecz i wskazał tułactwo, aby wypił czarę do dna.

I pociągnął skazany pod te pręgierze, na ten plac sławy i kary z pokorą posłuszną... opatrzność rzucała nim, jak trupem na zburzonej fali.

W stolicy Saskiej zobaczył znowu, powitał i pożegnał, nigdyś ukochaną Franusię Krasińską, tylu nadziejami szczęśliwą, a teraz tak biedną.

Potem wałęsał się bez celu, do Turcyi, aby walczyć ze wspólnym nieprzyjacielem... i być świadkiem i uczestnikiem klęski; aby uciekać z hańbą i gniewem od murów Sylistryi, przeżyć kilka dni jaśniejszych w Adryanopolu i Rodosto, przedrzymać miesiąc w Stambule. — To był tylko nocleg w gospodzie.

Walczą gdzieś za wolność, więc iść gdzie się za nią biją... wszakci to sprawa całej ludzkości jest wspólna.

Wspomnienia tego kilkoletniego, a kilkowiekowem zdającego się tułactwa — oblegały biednego żołnierza. A nad nie wszystkie żywiej przypominała się Ukraina i Podole, lata młode, matka, co go w progu nowego życia błogosławiła, ojciec, bohater opłwany i wieczory pod lipami, na których klekotały bociany przyjaciele, i to szare niebo północy ze zgrzebnych domowych płócien utkane w którego obsłonach zwierciedli się nasza tęsknica.

Przychodziły łzy po jednej na każdy ból, a odprawiał je nazad do serca, aby z niego nie wychodziły.

Obok niego siedzieli towarzysze przybici, wymęczeni swym smutkiem, podróżą i tęsknotą długą.

Karol usiłował utaić w sobie uczucia, które nim miotały, choć w duszy odzywała mu się ta pieśń niepozbyta wspomnień, do szału i rozpaczy rozgorączkowująca człowieka.

Rogowski nie wiele tam zostawił prócz grobów, a i jemo po wąsach płynęły łzy, które przeklinając odpędzał.

Karol poświęcił obowiązki przysięgłego ojczyźnie żołnierza wszystko, co w ofierze przekonaniom złożyć można, niżeli odda się życie.

Gdy odpoczywali w stolicy saskiej, ojciec dowiedziawszy się z listu o jego pobycie, przybiegł sam, chcąc go z sobą zabrać do Skały, ale próżne były pokusy i namowy.

Karol pod urokiem bohaterstwa i poświęcenia Pułaskiego, pod wrażeniem słów natchnionych starego Skiby, powiedział sobie, że przysiągł walczyć lub tułając się czekać walki i z młodzieńczą fantazyą od postanowienia swojego odstąpić nie chciał.

Ojciec prosił, przekonywał, na końcu uległ. Prosił drugich, aby za niego mówili do upartego dziecka; Pułaski sam skłaniał go do powrotu i oczekiwania lepszych czasów w domu, ale milczący Karol stał przy swojem, że mu towarzyszyć będzie.

Tęsknił po dziadzie, po matce, ojcu i po Ewusi, o której nie śmiał wspominać, ale tęsknota potęgowała w nim żądzę ofiary.

Chciał cierpieć.

Cierpieć za ojczyznę, iść na wygnanie dobrowolne zdawało mu się zrazu tak pięknem, jak Radziwiłłom, Ogińskim, Pacom, Potockim; którzy wszakże jeszcze piękniejszem wkrótce uznali powrócić do łask królewskich i do domu.

Dalecy krewni Plutów, Mniewscy, bawiący naówczas w Dreznie, bo Drezno od czasów Saskich było dla wielu pierwszym popasem wygnania, dla innych pierwszym i ostatnim; zacna pani Moszyńska, inni ziomkowie używali wszelkich możliwych perswazyi, aby go skłonić do powrotu, ale wybłagał u ojca, że mu pozwolił dzielić Pułaskiego losy.

Nad brzegami tej Elby, która tyle naszych pożegnań na wieki widziała — rozstali się z ojcem,

który powrócił do Skały, a syn poszedł bić się pod Sylistryą, patrzeć na morze w Rodosto, tęsknić, błąkając się nad najpiękniejszemi w świecie wybrzeżami Carogrodu, aż dopóki rozbudzony nagle Pułaski nie zawołał:

— Jedźmy do Ameryki!

— Do Ameryki! — myśl tę z zapałem młodości pochwycił Karol.

Teraz siedział i on z ciężarem na duszy, ale dumą zarazem, że dotrwał na stanowisku i jednem westchnieniem żegnał ojczyznę, drugiem witał ziemię boju i trudu.

Promienisto wydawał mu się ten kraj tytanicznych zapasów, homerowych bojów i spartańską cnotą odzianych jak zbroją bohaterów.

Wśród tego milczenia i smutnych myśli wieczora niekiedy słówkiem odezwał się który z nich o Polsce, tylko o niej, o niej zawsze. Po licach przebiegł jakby promień światła, potem jakby chmura ciemna i znowu milczenie.

— Któżby to był mi powiedział, gdym chłopięciem biegał po polach Raduczu, że mnie wiatry i miłość ku wam zagnają kiedyś aż do Antypodów! Rzekło się wprawdzie w Częstochowie — mówił Rogowski — że choćby do Antypodów za wami, ale dalipan nie myślałem wówczas, ażeby się to sprawdzić miało.

— Hej! hej! ktoby mi był śmiał przeczyć — odparł Pułaski — że na murach jasnogórskich życia nie położę — miałbym go za oszczercę... ale losy człowieka to wiekuista zagadka. Bóg kazał inaczej — nie myślmy o tem — stało się. Karol westchnął i on pomyślał.

— Gdym wyjeżdżał do Tyńca lub Częstochowy, któżby zgadł, że się na ocean atlantycki zabłąkam.

— Dziś jeśli mi kogo żal, to tego dziecka Ukrainy, Bohdanka mojego — mówił Pułaski — trzebać mu było, wyrwawszy się cało z rąk tłuszczy tureckiej pod Sylistryą, przepłynąwszy większą część drogi, dać się pożreć rekinowi pod San Domingo... biedne, poczciwe chłopię.

— Ale bo i sam sobie winien, do trzykroć... — przerwał Rogowski — com go naprzestrzegał, żeby nie dokazywał z tem pływaniem. Dobrze to u nas gdzie największa ryba sum, ale tu... te dyabelskie monstra to by wołu zjadły na śniadanie nie tylko takie drobne stworzenie jak Bohdanek. Ale on byle wodę zobaczył, jak ryba, jak amfibia zaraz mu się zachciewało pływać.

— Dajże mu już pokój nieborakowi — odparł smutnie Pułaski — niech mu Bóg da odpoczynek. Dziecko było i służka serdeczny. Mój Boże, jak to piosnki śpiewało! Nie jestem zabobonny — dodał — ale mam to sobie za niedobrą wróżbę, że swoją miłość dla mnie życiem przypłacił.

Rogowski westchnął.

— E! generale — rzekł po chwili — kto tam wie co lepiej, czy ginąć od rekina, który gładko schrusta, czy od kuli angielskiej, co gotowa, na dwa podzieliwszy dania, naprzód zrobić kaleką, a w końcu nieboszczykiem.

— Zapewne — odparł Pułaski — kiedy zginąć raz potrzeba. To też mi to wszystko jedno co Bóg przeznaczy, ale bym już co rychlej pragnął na ląd wysiąść i bić się a coś robić. Ta długa bezczynność i kontemplencya wód morskich rano, w południe i na wieczór, zmordowały mnie. Gładka powierzchnia tej szyby nudzi, niecierpliwi obmierzłe morze. Fala ruchawa niby, bałamutna, a zawsze toż samo... i człowiek przeciw niej nic nie może...

— Nie trzebaby jednak kłócić się z nią i mówić jej nieprzyjemności przed burzą — odezwał się Rogowski — na noc podobno zbierze się na dobrą przeprawę. Niedarmo kapitan Leclerc chodzi zasępiony jak mrók, nawet nie poświstuje, a płótno ściągają zewsząd. Uważałem to nieraz, że gdy tylko te szmaty poczną wałkować... już coś złego grozi.

— Zbiera się na burzę to pewna — dorzucił Karol — chmury pędzą choć jeszcze daleko, wiatr dmnie coraz gwałtowniej i nierówno, jakby się gniewał... zły znak. Okręt jak łupina skacze po falach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Niniejszy numer jest ostatnim w bieżącym kwartale. Kto niechce doznać przerwy w odbiorze numerów, niech jak najrychlej odnowi przedpłatę na poczcie.

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Dobrze, obywatelko — odrzekł Maurycy — ale pozwolenie służy tylko tobie samej.

— Przyprowadziłam z sobą przyjaciółkę, aby nas przynajmniej dwie było między tylu żołnierzami.

— Bardzo dobrze; lecz twoja przyjaciółka nie wejdzie na górę.

— Jak ci się podoba, obywatelu — odrzekła Zofia Tison ściskając dłoń przyjaciółki, która oparta o mur, zdawała się być mocno zdziwiona i przerażona.

— Obywatele numerowi — zawołał Maurycy podnosząc głowę i stosując to do placówek ustawionych na każdem piętrze — przepuśćcie Zofię Tison; tylko jej przyjaciółki puszczać nie należy. Zaczeka na schodach, a wy baczcie, aby ją szanowano.

— Dobrze, obywatelu — odpowiedziały placówki.

— Idźcie więc — rzekł Maurycy.

Obie kobiety poszły.

Tymczasem Maurycy przeskoczył resztę schodów i wybiegł na dziedziniec.

— Co to jest — spytał gwardzistów — kto tu tak hałasuje? aż w przedpokoju uwięzionych słychać krzyki dziecka.

— Oto — rzekł Simon, pewien, że Maurycy przyjdzie mu w pomoc — oto ten zdrajca, ten arystokrata, nie pozwala mi oćwiczyć Kapeta.

I pięścią wskazał na Lorina.

— Tak jest, do pioruna! ja mu przeszkadzam — z pogardą rzekł Lorin — ale jeżeli jeszcze raz nazwiesz mię arystokratą lub zdrajcą, natychmiast przebiję cię na wylot moją szpadą.

— Groźba! — zawołał Simon — warta!

— Wszakże to ja stoję tu na warcie — rzekł Lorin — nie wołaj mię więc, bo jeżeli przyjdę do ciebie, to cię pewno zgładzę z tego świata.

— Na pomoc, obywatelu urzędniku, na pomoc — wrzeszczał Simon, któremu tym razem Lorin zagroził na seryo.

— Sierżant ma słuszność — zimno odpowiedział urzędnik — krzywdzisz naród nikczemniku, bo bijesz dziecię.

— A wiesz Maurycy, za co bije? bo dziecię nie chce śpiewać „pani Veto“, bo syn nie chce znieważać matki.

— Nędzniku! — rzekł Maurycy.

— I ty także — zawołał Simon — czyliż mię sami tylko zdrajcy otaczają?

— Ah! szelmo — krzyknął urzędnik chwytając Simona za gardło i wyrywając mu pocięgiel — tylko no spróbuj dowodzić, że Maurycy Lindey jest zdrajcą.

I to mówiąc z całą siłą spędzał gniew swój na plecy partacza.

— Dziękuję ci panie — rzekło dziecię, stoicko przypatrując się tej scenie — ale pomści on się za to na mnie.

— Chodź tu Kapet — powiedział Lorin — chodź tu mój chłopcze; jeżeli cię znowu bić będzie, wołaj o pomoc, a przyjdziemy ukarać tego kata. No! no! mały Kapecie idź do wieży.

— Dla czegoż nazywasz mię Kapetem ty co mnie bronisz? — spytało dziecię — wiesz dobrze że nie nazywam się Kapet.

— Jakto, nie nazywasz się Kapet — rzekł Lorin — a jakże ci imię?

— Nazywam się Ludwik Karol de Bourbon. Kapet było to imię jednego z mych przodków. O! ja znam historyą Francyi, uczył mnie jej mój ojciec.

— I ty chcesz nauczyć robienia pantofli to dziecię, które król uczył historyi Francyi! — zawołał Lorin. — No, no!

— O! bądź spokojny chłopcze — rzekł Maurycy do dziecka — ja to wszystko zaraportuję gdzie należy.

— I ja także zaraportuję — rzekł Simon. — Między innemi powiem i to, że zamiast jednej kobiety, której pozwolono wejść do wieży, wpuściłeś dwie.

W rzeczy samej w tej chwili obie kobiety wychodziły z wieży.

Maurycy pobiegł ku nim.

— I cóż, obywatelko! czy widziałaś twą matkę? — spytał bliżej stojącej.

Zofia Tison natychmiast stanęła między nim a swą towarzyszką.

— Tak jest, obywatelu, dziękuję.

Maurycy chciał widzieć przyjaciółkę młodej dziewicy, albo przynajmniej głos jej usłyszeć, ale ta owinięta w swą mantylkę jakby naumyślnie ani słowa przemówić nie chciała. Zdawało mu się nawet że drżała.

Bojaźń ta wznieciła w Maurycym podejrzenie, Wbiegł czemprędzej na górę.

Przybywszy do pierwszej izby dostrzegł przez szklane drzwi jak królowa coś na kształt listu chowała do kieszeni.

— O! ho! — zawołał — mianoż by mnie oszukać

Zawołał swego kolegę.

— Obywatelu Agrikola — powiedział — wejdź do Maryi Antoniny i ani na chwilę nie spuszczaj jej z oka.

— Co! co! — chciał spytać ten urzędnik — czy znowu?

— Wejdź mówię ci i to natychmiast bez najmniejszej zwłoki.

Urzędnik wszedł do królowej.

— Przywołaj żony Tison'a — rzekł do gwardzisty.

W pięć minut po tem, obywatelka Tison weszła przomieniejąca.

— Widziałam moją córkę — rzekła.

— I gdzież? — spytał Maurycy.

— Tu właśnie, w tym przedpokoju.

— Dobrze. A czy twoja córka nie pragnęła widzieć się z Austryaczką?

— Nie.

— Nie wchodziła do niej?

— Nie.

— A czy podczas twej rozmowy z córką, nikt nie wyszedł z pokoju królowej?

— Alboż ja wiem? Ja patrzyłam na córkę, której od trzech miesięcy nie widziałam.

— Przypomnij no sobie dobrze.

— Ah! prawda, zdaje mi się...

— No, co?

— Dziewczyna wychodziła.

— Marya Teresa?

— Tak.

— I rozmawiała z twoją córką?

— Nie.

— Czy twoja córka nic jej nie dała?

— Nie.

— A może ona co z ziemi podniosła?

— Kto, moja córka?

— Nie, córka Maryi Antoniny.

— Tak, tak, podniosła swoją chustkę.

— Ach! nieszczęśliwa! — zawołał Maurycy.

I podskoczył do sznurka od dzwonu, za który żywo pociągnął.

W dzwon ten uderzano tylko na trwogę.

XI.

List.

Dwaj inni służbowi urzędnicy czemprędzej pospieszyli na górę, towarzyszył im oddział żołnierzy.

Pozamykano drzwi i przy wejściu do każdego pokoju ustawiono po dwóch ludzi na straży.

— Co chcesz mój panie? — spytała królowa Maurycego gdy wszedł — miałam się właśnie udać na spoczynek, lecz oto obywatel urzędnik — tu króiowa wskazała na Agrikolę — wpadł nagle do mego pokoju, nie oświadczywszy nawet czego żąda.

— Pani — rzekł Maurycy kłaniając się — nie mój kolega, ale ja sam chcę z nią pomówić.

— Pan? — spytała Marya Antonina patrząc na Maurycego, który dobrem obchodzeniem się zjednał już był sobie u niej niejaką wdzięczność — i czegoż to pan żądasz?

— Proszę, abyś pani raczyła oddać mi list, który ukrywałaś w chwili, gdy wchodziłem.

Królewska córka i księżna Elżbieta zadrżały. Królowa mocno pobladła.

— Mylisz się mój panie, ja nic nie ukrywałam.

— Kłamiesz Austyaczko! — zawołał Agrikola.

Maurycy żywo położył mu rękę na ramieniu i rzekł.

— Cierpliwości, kochany kolego, pozwól niech ja sam pomówię z obywatelką. Jestem nieco prawnikiem.

— Dobrze; ale nie oszczędzaj jej, do tysiąc!...

— Ukrywałaś list obywatelko — surowo rzekł Maurycy. Trzeba go nam oddać.

— Ale jakiż to list?

— Ten który przyniosła młoda Tison i który córka twoja, pani — Maurycy wskazał na młodą księżniczkę — podniosła przez chustkę.

Trzy kobiety spojrzały po sobie przerażone.

— Ależ, panie, to przechodzi nawet tyranią! — powiedziała królowa — wszakżeśmy kobiety!

— Nie bierzmy jednego za drugie — stale rzekł Maurycy. — My tu nie jesteśmy ani sędziami, ani katami, jesteśmy tylko czuwającymi, tj. obywatelami obowiązanymi pilnować cię obywatelko. Mamy rozkaz, naruszać go zatem, byłoby jedno co zdradzać. Proszę cię więc obywatelko, oddaj mi list, który schowałaś.

— Panowie — wyniośle rzekła królowa — ponieważ jesteście czuwającymi, szukajcie więc i pozbawcie nas snu i dzisiaj, podobnie jak to już od kilku nocy czynicie.

— Niech nas Bóg broni abyśmy mieli podnosić ręce na kobiety. Każę uprzedzić gminę i czekać będziemy jej rozkazów, ale panie nie będziecie mogły przepędzić nocy w łóżkach; będziecie musiały spoczywać w fotelach, my zaś pilnować was będziemy... Jeżeli będzie potrzeba, przystąpimy do poszukiwań.

— A co tam nowego? — spytała stara Tison pokazując przez drzwi swą obłąkaną głowę.

— To nowego, obywatelko, że podając rękę zdradzie, pozbawiasz się na zawsze przyjemności widywania twej córki.

— Widywania mej córki!... Co ty mówisz obywatelu? — spytała zdziwiona stara Tison nie pojmując dotąd przyczyny, dla którejby nie miała widywać córki.

— Powiadam, że córka twoja nie przyszła tu aby się widzieć z tobą, lecz aby doręczyć list obywatelce Kapet, ale już tu więcej pewno nie postanie.

— To w takim razie nigdy jej już nie obaczę, bo niewolno nam stąd wychodzić?

Tym razem, nie przypisuj winy nikomu ale sobie samej — rzekł Maurycy.

— Oh! — ryknęła biedna matka — sobie samej, jakto powiadasz, sobie samej? Ręczę, że nic się nie stało. Oh! bo gdybym była przekonana, że zaszło tu co złego, biada ci więc wówczas Antonino, drogobyś mi to przypłaciła.

I szalona kobieta pięścią pogroziła królowej.

— Nie groź nikomu — rzekł Maurycy — raczej łagodnością otrzymaj to czego pragniemy; jesteś kobietą, a obywatelka Antonina, sama jako matka, zapewne ulituje się także nad matką. Jutro, córka twoja zostanie aresztowaną, uwięzioną.. potem, jeżeli się coś wykryje, a wiesz, że jak zechcą to zawsze coś wykryją, będzie zgubioną wraz ze swoją towarzyszką.

Stara Tison, wysłuchawszy Maurycego z wzrastającą trwogą, prawie błędne spojrzenie rzuciła na królowę.

— Czy słyszysz Antonino!... moja córka!... może zginie przez ciebie!

Teraz znowu królowa zdawała się być strwożoną, nie groźbą błyszczącą w oczach ceklarki, lecz rozpaczą jaką w nich czytała.

— Zbliż się moja Tison — rzekła — chcę z tobą pomówić.

— Hola! — zawołał kolega Maurycego — obejdzie się bez szeptów; do licha my tu nie dla parady stoimy! Wszystko tu dziać się winno urzędownie!

— Pozwól, obywatelu Agrikola — rzekł mu Maurycy do ucha — abyśmy tylko prawdy doszli, mniejsza o sposób jakim jej dojdziemy!

— Masz słuszność, obywatelu Maurycy... ale...

— Ustąpmy za szklane drzwi, obywatelu Agrikola, i jeśli mi wierzysz, odwróćmy się; jestem pewny, że osoba, której okażemy tę powolność nie każe nam tego żałować.

Królowa usłyszała te słowa umyślnie głośniej wymówione i rzuciła wdzięczne spojrzenie na młodzieńca.

Maurycy niby nie widząc tego, przeszedł za szklane drzwi, Agrikola naśladował go.

— Widzisz sam — powiedział do Agrikoli — że ta kobieta chociaż ciężko obżałowana jako królowa; jednak jako kobieta posiada zacną i wielką duszę. I ona umie czuć cudze nieszczęście.

— Do krocset! jak ty pięknie mówisz, obywatelu Maurycy! — odpowiedział Agrikola. — Ciebie i twojego przyjaciela Lorina bardzo lubię słuchać. Czyś to także wierszami powiedział?

Maurycy uśmiechnął się.

Podczas tej rozmowy scena, którą przewidział Maurycy, miała miejsce po drugiej stronie szklanych drzwi.

Stara Tison zbliżyła się do królowej.

— Pani — rzekła Marya Antonina — rozpacz twoja rozdziera mi serce; nie chcę pozbawiać cię dziedzięcia, bo to bardzo boli, lecz rozważ iż może nie ocalę twej córki, mimo iż uczynię to co ludzie ci żądają.

— Uczyń jak żądają! — zawołała stara Tison — uczyń!

— Ale wprzód wiedz przynajmniej o co chodzi.

— O cóż więc chodzi? — spytała ceklarka z prawdziwie dziką ciekawością.

— Twoja córka przyprowadziła tu z sobą przyjaciółkę.

— Tak, taką samą jak ona wyrobnicę — odparła stara Tison — nie chciała przyjść sama bo lękała się żołnierzy,

— Ta przyjaciółka dała twej córce list, który twoja córka upuściła. Marya przechodząc podniosła go. Jest to zapewne nic nie znaczący papier, ale złych zamiarów ludzie mogą mu przypisać jakie znaczenie. Wszak urzędnik powiedział ci, że jeżeli chcą znaleźć to zawsze znajdą.

— Cóż więcej? cóż więcej?

— Już nic więcej: chcesz abym oddała ten papier; ale czy chcesz także abym poświęciła przyjaciela, nie ocalając może twej córki?

— Uczyń jak żądają! — wołała stara — uczyń!

— Ale jeżeli papier ten kompromituje twoją córkę — rzekła królowa — chciejże przecież zrozumieć.

— Moja córka jest równie dobrą jak i ja patryotką! — wrzeszczała megera. — Dzięki Bogu Tisonów wszyscy znają: uczyń jak żądają!

— O mój Boże! — mówiła królowa, jakże bym cię chciała przekonać.

— Oddaj mi moją córkę! ja chcę widzieć moją córkę! — wołała znowu stara Tison tupiąc nogami. — Dawaj ten papier Antonino, dawaj.

— Oto jest.

To mówiąc królowa podała papier tej nieszczęśliwej, która porwawszy go radośnie wzniosła po nad głowę wołając:

— Pójdźcie! pójdźcie, obywatele urzędnicy. Mam już papier, weźcie go a powróćcie mi moje dziecię.

— Poświęcasz przyjaciół naszych, siostro — rzekła księżna Elżbieta.

— Nie, siostro — smutnie odpowiedziała królowa, ja nas samych tylko poświęcam. List ten nikogo skompromitować nie może.

Na krzyk starej Tison, Maurycy i jego kolega, zbliżyli się do niej, ta natychmiast oddała list, który otworzywszy przeczytali:

„Na wschodzie, czuwa jeszcze przyjaciel.“

Maurycy zadrżał skoro tylko rzucił okiem na ten papier.

Zdawało mu się, że widzi sobie znajomy charakter.

— O! mój Boże! — zawołał — miałażby to być ręka Genowefy! O! nie, to niepodobna, jam chyba szalony. Prawda, że pismo listu, podobne do jej pisma, ale cóżby Genowefa mogła mieć wspólnego z królową.

Obejrzał się i spostrzegł że Marya Antonina patrzy na niego. Stara Tison oczekując swego wyroku, również wzrokiem swym pożerała Maurycego.

— Spełniłaś dobry czyn — rzekł tenże do starej Tison — a ty obywatelko spełniłaś czyn piękny — powiedział królowej.

— Skoro tak, mój panie — odpowiedziała Marya Antonina — idź więc za moim przykładem i spal ten papier a spełnisz czyn litościwy.

— Żartujesz Austryaczko — odezwał się Agrikol — mamy spalić papier, który nam może pomódz do wyśledzenia całego gniazda arystokratów; na honor, byłoby to bardzo głupio.

— W rzeczy samej, spalcie go — powiedziała stara Tison — bo możecie skompromitować moją córkę.

— Bardzo wierzę, i nietylko samą twoją córkę, ale i wielu innych — rzekł Agrikola biorąc z rąk Maurycego papier, który ten byłby zapewne spalił gdyby był sam.

W dziesięć minut później, złożono ów list w biurze członków gminy, gdzie natychmiast został otworzony i na wszystkie strony komentowany.

— Na wschodzie (à l' Orient) czuwa przyjaciel — rzekł jeden głos — co to u dyabła może znaczyć?

— Do licha! — odpowiedział geograf — w Lorient to jasno jak na dłoni. Lorient jest to małe miasteczko w Bretanii, między Vannes a Quimper. Trzeba do pioruna! spalić to miasto, jeżeli prawda, że mieści w sobie arystokratów czuwających jeszcze nad Austryaczką.

— Tem niebezpieczniej — rzekł drugi — że Lorient jest to port morski, w którym można się porozumiewać z Anglikami.

— Wnoszę — powiedział trzeci — aby wysłano komisyę do Lorient i nakazano wykonać ścisłe śledztwo.

Niektórzy członkowie śmieli się z tego wniosku, lecz większa ich część z zapałem go się uchwyciła. Postanowiono wysłać do Lorient komisyę mającą czuwać nad arystokratami.

Uwiadomiono Maurycego o tej naradzie.

— Miarkuję ja dobrze, gdzie to może być ów wschód (l' Orient), o którym mowa — pomyślał sobie — ale niezawodnie nie w Bretanii.

Nazajutrz królowa, która jak powiedzieliśmy nie wychodziła do ogrodu, aby nie przechodzić obok pokoju w kórym dawniej więziono jej męża, zapragnęła wejść na wieżę dla użycia nieco świeżego powietrza, wraz z swą córką i księżną Elżbietą.

Natychmiast przychylono się do tego żądania, lecz wraz z nią udał się także Maurycy i ukryty za małą budką dotykającą wierzchu schodów, czekał na skutek wczorajszego listu.

Królowa zrazu przechadzała się obojętnie z swą córką i księżną Elżbietą, lecz potem zatrzymała się, i podczas gdy obie księżne dalej odbywały

przechadzkę, obróciła się na wschód i pilnie wpatrywała się w dom, w oknach którego pojawiło się kilka osób, jedna z nich trzymała w ręku chustkę.

Maurycy wydobył z kieszeni lunetę, lecz podczas gdy ją ustawiał, królowa mocno się poruszyła, jakby dając znak ciekawym, aby ustąpili od okna.

Ale Maurycy dostrzegł już był głowę mężczyzny z jasnym włosem, bladą cerą, którego ukłon odznaczała pełna uszanowania uniżoność.

Za tym młodzieńcem, który nie miał więcej nad lat dwadzieścia pięć lub sześć, ukrywała się jakaś kobieta. Maurycy wymierzył na nią swą lunetę i uczynił poruszenie, które go zupełnie odkryło, bo mu się zdało, że w owej kobiecie poznał Genowefę. Natychmiast owa kobieta, która również trzymała w ręku lornetę, odskoczyła w tył uprowadzając za sobą młodego człowieka. Byłaż to w istocie Genowefa? Czyż także poznała Maurycego? Ciekawa para miałażby się oddalić jedynie na znak dany przez królowę?

Maurycy czekał przez chwilę w zamiarze przekonania się, czyli młodzieniec i jego towarzyszka nie pokażą się znowu w oknie, lecz gdy to nie nastąpiło, zalecił koledze swemu Agrikoli najpilniejszą baczność, a sam szybko zbiegł po schodach i ukrył się w rogu ulicy Portefoin, dla przekonania się, czy owe ciekawe osoby nie wyjdą ze wspomnianego domu; zawiodły go jednak oczekiwania.

Wówczas nie mogąc oprzeć się podejrzeniu, które go okropnie dręczyło od chwili, jak towarzyszka młodej Tison uparła się w dochowaniu milczenia, Maurycy pobiegł ku starej ulicy św. Jakuba, gdzie przybył pełen najdziwniejszych podejrzeń.

Gdy wszedł, zastał Genowefę ubraną w biały szlafrok i oczekującą w jaśminowej altance na śniadanie, które jej tam zwykle przynoszono. Przywitała ona Maurycego jak najprzyjaźniej i prosiła na filiżankę czekolady.

Dixmer, który przybył w tej chwili, wielką objawił radość z tak niespodziewanych odwiedzin Maurycego. Lecz nim Maurycy wypił czekoladę, którą mu podano, Dixmer zawsze pełen zapału dla swego handlu, zaprosił, aby przyjaciel jego, sekretarz sekcyi Lepelletier, zwiedzić zechciał jego warsztaty. Maurycy uczynił zadość temu żądaniu.

— Dowiedz się, mój kochany Maurycy — rzekł Dixmer biorąc go pod rękę i uprowadzając z sobą — o bardzo ważnej rzeczy.

— Czy to polityczna jaka wiadomość — spytał Maurycy ciągle zajęty swą myślą.

— Eh! kochany obywatelu — odrzekł Dixmer z uśmiechem — alboż my się wtrącamy do polityki? Nie, jest to nowina czysto przemysłowa. Dzięki Bogu, zacny mój przyjaciel Morand, który, jak ci wiadomo, należy do rzędu najznakomitszych chemików, wynalazł sekret robienia pąsowego safianu, jakiego dotąd jeszcze nie widziano, to jest nie zmieniającego się. Tę to farbę chcę ci pokazać, a nadto zobaczysz Moranda przy robocie; oho! jest to prawdziwy artysta.

Maurycy nie bardzo pojmował, iż można być artystą pąsowego safianu, jednakże poszedł za Dixmerem, i przebywszy warsztaty w osobnej oficynie zastał Moranda przy robocie; miał on swoje okulary i roboczą suknię na sobie i w istocie zdawał się być mocno zajęty przemianą białej baraniej skórki na pąsową. — Gołe jego ręce, wychodząc z zawiniętej koszuli, zaczerwienione były aż po łokcie. Jak powiedział Dixmer z całą radością kąpał je w koszenili.

Zajęty pracą ledwo kiwnął głową Maurycemu.

— I cóż! obywatelu Morand — spytał Dixmer — nic nam nie powiesz?

— Samym tylko tym procesem, zyskamy sto tysięcy liwrów rocznie — powiedział Morand. — Ale też od tygodnia nie sypiam, a kwasy wzrok mi przepaliły.

Maurycy zostawił Dixmera przy Morandzie i wrócił do Genowefy mrucząc po cichu:

— Wyznać należy, że rzemiosło urzędnika, nawet bohatera zbestwić może. — Pobywszy tydzień w Temple, człowiek gotówby samego siebie wziąść za arystokratę i sam się denuncyować. Ten Dixmer tak dobry! ten Morand tak wyborny, Genowefa tak młoda! no proszę! a ja ich przez chwilę miałem w podejrzeniu.

Genowefa oczekiwała Maurycego z wdzięcznym uśmiechem na ustach, aby tem prędzej zmusić go do zapomnienia samego pozoru podejrzeń, które powziął w istocie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Tak — napróżno go raz z wody Wolski wydobył, zabił się z konia.

— Wolski ożenił się z jego siostrą.

— Wiem, wiem, jakżebym nie wiedział, z pastorem jego krewnym grywamy w szachy kilka razy w tydzień. Cały ten dom znam doskonale i wszystkie ich stosunki. Choć w Wolskim złapali sobie von drugie, nie chcieli go podobno i córki się wyrzekli i głodem im mrzeć dali, póki syna nie stracili... teraz będzie inaczej... Stary radzca komercyjny swoje von chce przekazać potomności, pewnie więc wnuki i córkę przyjmie i ma się starać, aby im pozwolono połączyć dwa nazwiska... będą więc von Wolski-Riebe albo von Riebe-Wolski.

I śmiać się zaczął.

— W takim razie i Wolskiego przyjąć musi.

Cylius ruszył ramionami, mówiąc:

— Zdaje mi się, że już on tam jest i że mu z żoną dano drugie piętro w kamienicy. Tak! tak! Mówił mi o tem pastor. Wilhelmina odzyskała swą dawną władzę nad ojcem i matką.

— Cieszę się z tego niewymownie — dodał garbus — bom widział tego biednego człowieka długo walczącego z niedostatkiem, z nędzą prawie, i tak znękanego, że mnie prawdziwa nad nim litość brała.

— Daj Boże, aby i teraz z czem do walczenia nie miał — krótko i sucho dokończył profesor — ludzie całe życie walczyć muszą; życie jest nieustannym bojem.

— Tylko nie dla was, szanowny profesorze!

— Jakto? — oburzył się stary, jakby go to obraziło — jakto? nie widziszże, iż walczyć muszę ze starością, któraby mnie chciała w niedołęgę przemienić, z władzami słabnącemi ciała i umysłu, z pannami, które chcą wyjść za starego, aby po nim wziąć spadek, i z tajemnicami świata i życia, do których myślą szturmuję.

Tak rozmawiając zbliżyli się do kamienicy radzcy komercyjnego von Riebie. Właśnie mocno już podstarzały ale zawsze jeszcze majestatycznej postawy radzca z parasolem pod pachą wychodził z domu i zobaczywszy profesora salutował go bardzo grzecznie. Ukłon ten emeryt temu był winien, iż radzca wiedział o tem, jako był komandorem orła czerwonego z gwiazdą. Z wielkim więc dlań był respektem, on, co miał tylko znak ogólny honorowy i jakąś drugą nieznaczącą wstążeczkę. Zbliżył się nawet pospiesznie do staruszka, aby mieć szczęście przemówić doń słów parę i pochlubić się tem w resursie.

-- Czcigodnego pana radzcy sługa najniższy! sługa najniższy! — począł zaledwie odpowiadając na ukłon garbusa, którego nie znał i w którym się zapewne Polaka nie domyślał — jakże zdrowie?

— Moje dobrze, a ja was, panie radzco, nie pytam o wasze, bo je z twarzy widzę, wyglądacie doskonale.

— Mimo zmartwień tysiąca! zawołał Riebe. — Wiesz pan zapewne od pastora, którego często pono widujesz, że straciłem jedynego, ukochanego syna, młodzieńca najpiękniejszych nadziei. Niemcy byłyby się nim pochlubić mogły. Integligencya była znakomita, nauka ogromna, los mi go pozazdrościł.

— Masz pan córkę — dorzucił Cylius.

— Tak, nie pospolitą, mogę powiedzieć, istotę, która nieszczęściem zakochała mi się była w polskim zrujnowanym baronie i musiałem ją wydać za niego. Imię piękne, ale ja tylko na wnuki rachuję, z Polaka nam nic nie zrobić.

— Hę? spytał doktor — nie podzielam w tem pańskiego zdania. Polacy mają wiele przymiotów.

— Ale wad jeszcze więcej — odparł Riebe. Mój zięć, nie mogę powiedzieć, człowiek uczony, ma tytuł doktora...

— Uczeń mój — rzekł Cylius.

— A! a! doprawdy — przerwał radzca — pan go znasz?

— Bardzo dobrze...

— Nie potrzebuję więc mówić o nim — dokończył Riebe, ale gdybyś pan znał córkę moją, dopierobyś osądzić mógł, że czegoś lepszego była warta... choć temu człowiekowi nie ujmuję.

Garbus byłby się z chęcią przysłuchiwał dłużej rozmowie, lecz w tej chwili nadszedł ktoś, co musiał mieć jakiegoś jeszcze znakomitszego

orła niż Cylius, bo Riebe powitał go bardzo nisko i co prędzej pożegnawszy emeryta przyłączył się do jego towarzystwa.

Był to jakiś radzca ministeryalny i ekscelencya. Niemcy zwykli się wyśmiewać z próżności Francuzów, z ich upodobania w tytułach i wstążeczkach, lecz gdzież do tych dziecinnych zabawek więcej przywięzują wagi niż nad Szprewą, i jaki jest kraj, gdzieby, zliczywszy wszystkie ordery, ich klasy, rodzaje, ozdoby i tytuły i klasyfikacye, do takiej liczby olbrzymiej stopniowań i cieniowań dojść można jak w Prusiech?

Samych radzców ile jest gatunków i podgatunków — z rozmaitemi predykatami, morze do wypicia.

Cylius odwrócił się nieco i popatrzał za odchodzącym.

— Rzadki egzemplarz — rzekł, człek, który się nigdy nie uczył, nigdy nic nie umiał, a potrafi się tak wykręcać, że więcej jak pięć razy na godzinę w rozmowie bąka nie strzeli.

Rok 1866 wstrząsnął całemi Niemcami i stanowił przesilenie, które o życiu ich lub śmierci wyrokowało. Oprócz skutków politycznych, dotykalnych anneksyi, eufemicznie nazwanych tem łagodzącem imieniem, choćby się były mogły wybornie inaczej nazywać, w umysłach i pojęciach zrządził on wielkie zmiany.

Idea jedności Niemiec dojrzała, sformułowała się i miała odwagę wypowiedzieć hukiem dział, wymierzonych przeciwko partykularystom, co śmieli mniejszą kochać ojczyznę i stare Niemiec tradycye...

Najobojętniejsi ludzie roznamiętniali się potęgą i wielkością przyszłą tych Niemiec, w które jeszcze Lessing nie wierzył, o których mówiąc Fryderyk II. z Gellertem znajdował, że absurdem było jednym panującym myśleć dla tak rozlicznych krajów.

Po ulicach, które baron Beust przejeżdżał z rozwianemi włosami, spoglądając na szeregi śpiewaków — ciągnęło teraz w milczeniu wojsko pruskie i zajmowało stolicę Wettinów, a po niej wszystkie małe stoliczki, jakie się mu podobało.

Patryotyzm wielko-niemiecki przyklaskiwał Prusom a Prusy przyklaskiwały patryotyzmowi niemieckiemu, którym się tak wybornie posługiwać umiały. Z obu stron zdawało się i zdaje, iż jedna drugą potrafii wyzyskać — dla swego interesu.

Komedya nie skończona jeszcze — do dziś dnia na piąty akt jej czekamy. Z genialnością sobie właściwą hrabia, naówczas Bismarck, umiał puls średniej, na pół wykształconej klasy pomacać i zrozumiał, jak ona mu ze swem curtum visum wybornie służyć będzie, sądząc, że służy idei.

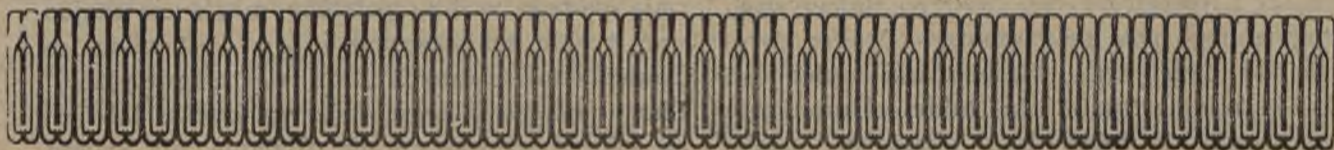
W następnym roku doktor Wojciech, znajomy nam już, wybranym został z Księstwa do parlamentu pruskiego i musiał jechać do Berlina grać tę smutną rolę posła polskiego, z którego niedouczone, niedokształcone a zarozumiałe mędrki śmieją się jak owi, co niegdyś wołali — Ecce homo! Wiekuisty to los tych, co z ideą walczą przeciwko interesom.

Gdy do niego ta wiadomość doszła, iż został obrany posłem, Wojtuś się za głowę pochwycił — nie chciał przyjąć mandatu. Trzydzieści osób naszło jego spokojną kwaterę, dowodząc mu w imię obowiązków obywatelskich, że taki mandat, tak zaszczytny dowód zaufania odrzuconym być nie może. Trzeba się więc było pakować i jechać w dziesięciu walczyć przeciwko dwóchset ludziom umyślnie głuchym i dobrowolnie ślepym.

Mówiliśmy już, że rezygnacya w rzeczach nieuniknionych była przymiotem Wojtusia. Jak dojrzał, iż rzecz być musiała, stawał naprzeciw niej, zakasując rękawy do walki na śmierć i życie. Tegoż samego dnia miał tłumok ułożony i dorożkę zamówioną na kolej a nazajutrz był już w Berlinie. Tu wybrawszy sobie jak najtańszy i jak najmniej obrzydliwszy lokal w hotelu niezbyt oddalonym od prowizoryjnego parlamentu, Wojtuś dopełniwszy wszystkich obowiązków urzędowych, pomyślał, jakiemi słodyczami mógł sobie nieco pobyt w tych koszarach uprzyjemnić a przynajmniej znośniejszym uczynić. Profesor Cylius był jednym z pierwszych na liście, ale też zaraz przypomniał sobie Wolskiego.

W trzy dni później nad wieczorem dążył już ku kościołowi św. Jadwigi i szukał kamienicy radzcy komercyjnego. Dobra pamięć dozwoliła mu ją łatwo rozpoznać. Wiedział, że Wolski mieszkał na drugiem piętrze.

(Ciąg dalszy nastąpi).



DZIAŁ KOBIECY.

HYGIENA.

Magnetyzm w medycynie.

Leczenie chorób za pomocą elektryczności znane jest już oddawna i oddaje medycynie ogromne usługi. Metody elektrolecznicze opierają się na działaniu fizyologicznem prądów elektrycznych, działaniu, stwierdzonem naukowo za pomocą ścisłych badań. Badania odnośne przeprowadzali między innymi Humboldt, du Bois Reymond, Duchenne, Pflüger, Erb i wielu innych. Obecnie pożytek leczenia elektrycznością czyli *elektroterapii* nie ulega żadnej wątpliwości. Ponieważ pokrewnym z elektrycznością czynnikiem fizycznym jest magnetyzm, więc i w tym kierunku oddawna była zwrócona uwaga badaczów. Jednakże do niedawna jeszcze wyniki, osiągnięte na tem polu, dawały się sprowadzić prawie do zera. Wprawdzie Benedikt, Clemens, Maggiorani i inni stosowali magnesy w leczeniu niektórych chorób nerwowych i osiągali jakoby czasami dodatnie wyniki, jednakże stosowanie magnetyzmu przez nich nie było uzasadnione naukowo i zdaje się, że poprawy w stanach chorobowych, osiągane tą drogą, były tylko pozorne.

Fizyologiczne działanie magnetyzmu nie było przez nikogo stwierdzone, a niektórzy badacze, jak Herman, dowiedli nawet, że pole magnesowe, czy to zwyczajnego magnesu, czy elektromagnesu, nie wywiera żadnego wpływu na tkankę ludzką i zwierzęcą. Tak więc do ostatnich czasów magnetyzm nie odgrywał wybitniejszej roli w medycynie, jeżeli wyłączyć okulistykę, w której od dawna z wielką korzyścią stosują magnesy do wydobywania ciał obcych, żelaznych lub stalowych, tkwiących przypadkowo w gałce ocznej.

Nanowo zwrócił uwagę świata lekarskiego na magnetyzm i jego zastosowanie w medycynie przed kilku laty szwajcarski elektrotechnik, Eugeniusz Müller. Badania swe przeprowadzał on nad elektromagnesem, to jest sztucznym czasowym magnesem, otrzymywanym za pomocą prądu elektrycznego. Podczas kiedy we wszystkich dawniej przedsiębranych doświadczeniach badano własności fizyologiczne tak zwanego stałego czyli jednoimiennego pola magnesowego, Müller zwrócił się do badań nad własnościami zmiennego pola elektromagnesu. Pole takie otrzymujemy w ten sposób, że przez drut, okrążający sztabę żelazną elektromagnesu, przepuszczamy niestały, lecz zmienny prąd elektryczny, to jest prąd, zmieniający co chwila swój kierunek. Wtedy przy każdej zmianie prądu bieguny elektromagnesu stają się z dodatniego ujemnym i odwrotnie, a jedną krótką chwilę podczas tej przemiany pozostają odmagnesowanemi.

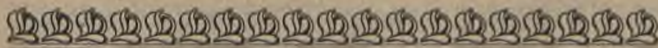
Takie pole magnesowe posiada w przeciwieństwie do stałego pola, czyli otrzymanego z elektromagnesu ze stałym prądem pewne własności fizyologiczne. Müller zauważył, że w pewnych warunkach wywołuje ono uczucie blasku, jakby świeczek w oczach, że działa ono uspakająco na układ nerwowy człowieka, że wywołuje senność i uśmierza bóle. Dla swoich doświadczeń używał Müller zmiennego prądu elektrycznego (Wechselstrom), zmieniającego 60 razy na sekundę swój kierunek, o sile 30—40 amperów, przy napięciu 100—120 wolt. Spostrzeżenia Müllera na razie przyjęte były z pewnem niedowierzaniem, wkrótce jednak jeden z lekarzy szwajcarskich, niejaki Bircher, dyrektor szpitala w Anrau, postanowił sprawdzić wyniki tych spostrzeżeń i zbadać naukowo wpływ zmiennego pola magnesowego na ustrój ludzki. W roku 1897 założył Bircher specyalną stacyę doświadczalną dla badań nad działaniem fizyologicznem i leczniczem elektromagnesu i zaopatrzył ją we wszystkie potrzebne przyrządy i urządzenia. Badania Birchera uwieńczone zostały w krótkim czasie pomyślnemi wynikami. Metoda leczenia za pomocą zmiennego pola magnesowego okazała się skuteczną w wielu przewlekłych i uporczywych cierpieniach, jak nerwobóle, migrena, zapalenia nerwów, różnego rodzaju kurcze, nerwice, reumatyzm stawowy i mięśniowy, artretyzm i t. p. Te zachęcające wyniki skłoniły innych lekarzy do stosowania nowej metody leczniczej. W roku 1898 i następnych powstały liczne specyalne zakłady dla leczenia magnetyzmem, zwłaszcza w Szwajcaryi i w Austryi. Przyrząd do leczniczego stosowania elektromagnesu nazywa się „radiator“.

Jest to duży elektromagnes, umieszczony na ruchomej podstawie i dający się ustawiać w najrozmaitszych kierunkach, tak, aby każda część ciała chorego według potrzeby mogła się znajdować w polu magnesowem i być wystawioną na działanie tak zwanych „linii siły magnetycznej“. Chory podczas zabiegu siedzi na krześle lub leży na sofie; ponieważ zaś dla działania siły magne-

tycznej odzież nie stanowi przeszkody, więc nie potrzebuje się nawet rozbierać. Długość jednego zabiegu wynosi 10 do 30 minut; w miarę siły i natężenia choroby posiedzenia należy powtarzać codziennie lub co kilka dni przez krótszy lub dłuższy przeciąg czasu.

Podług świadectwa lekarzy, którzy mieli sposobność wypróbować opisaną metodę leczniczą, odznacza się ona dogodnością w użyciu, bezpieczeństwem dla chorych, brakiem wszelkich ubocznych nieprzyjemnych skutków, wreszcie szybkością swego działania. Chory podczas zabiegu nie uczuwa absolutnie żadnego bólu. Na czem polega to działanie lecznicze zmiennego pola magnesowego, trudno powiedzieć. Na zasadzie dotychczasowych badań prof. Plückiera z Bonn wiadomo tylko, że czerwone ciałka krwi, wystawione na działanie zmiennego pola magnesowego, kurczą się, a natychmiast po usunięciu działania elektromagnesu przybierają poprzednią postać. Tym samym zmianom ulegają pod wpływem elektromagnesu krople tłuszczu w mleku. Inni znowu badacze, jak Müller i Kuznicki, stwierdzili za pomocą bardzo dokładnych badań i wyliczeń, że pod wpływem stosowania zmiennego pola magnesowego zwiększa się ilość barwnika krwi, zwanego hemoglobiną, który jest głównym składnikiem krwi i do pewnego stopnia wskaźnikiem jej dobroci i wartości fizyologicznej. Te zmiany w składzie chemicznym krwi i w kształcie jej ciałek nie mogą nie wywierać wpływu na przebieg chorób i kto wie, czy nie odgrywają roli w leczniczem działaniu elektromagnesu. W każdym razie nie ulega żadnej wątpliwości, że zmienne pole magnesowe wywiera pewne działanie fizyologiczne na ustrój ludzki i że może mieć znaczenie lecznicze. Czy spostrzeżenia dotychczasowe zostaną potwierdzone przez innych badaczów, czy magnetoterapia odgrywa wybitną rolę w medycynie, to pokaże nam dopiero przyszłość.

Dr. Z. G.



Pielęgniarki roślin.

Nowy zawód dla kobiet.

Oto wyłoniła się na jednem z ostatnich posiedzeń warszawskich „miłośników przyrody" sprawa, która w przystosowaniu jak najszerszego wprowadzania roślin do naszych domów, co jest jednem z zadań Towarzystwa ma pewne znaczenie.

Ileż to paproci ginie, ileż palm marnieje, ile prowadzi suchotniczy żywot w naszych domach! Ile roślin na balkonach dziczeje!

Dlaczego?

Nie brak zamiłowania nawet jest tego przyczyną. Brak umiejętności pielęgnowania roślin.

Jedne bywają zasuszone, innym z nadmiaru podlewania ogniwają korzenie, te się zbyt często przesadza, u innych korzenie rozsadzają doniczki. Na balkonach nie obcina się liści zwiędłych lub żółknących, nie wypiela szufladki z zielska, którego pyłek w doskonałej ziemi bujnie się rozrasta i głuszy szlachetną, a więc z natury swej nie rozpychającą się roślinkę. To wszystko przyczynia się do nienormalnego wzrostu roślin, a wynika stąd niezadowolenie i zniechęcenie.

— Nie wiem, co to znaczy, ale pterysy mi osychają na końcach liści.

— Nie wiem, co to jest, że ta paproć tak długo żyła, aż naraz mi zmarniała.

— Nie rozumiem, dlaczego na moim balkonie już wszystko pożółkło...

Oto, co się słyszy często aż do znudzenia.

I w ślad za tem następuje obwinianie ogrodnika: „Jeden mówi, podlewać dobrze, inny: trzymać sucho — a kurować rośliny nikt nie chce".

Natomiast żadna z Szanownych Miłośniczek nie przyzna winy swemu niedoświadczeniu, które jedynym jest w tym razie winowajcą.

Aby temu zapobiedz i wobec tego, że do nauki ogrodnictwa zaprzągł się już dziś dość liczny zastęp panien, proponujemy stworzenie nowego zawodu: *pielęgniarek roślin*. Przychodzić co pewien czas do obejrzenia i skonstatowania stanu roślinności i jej zdrowia, czy w ogródku, czy na balkonie, oglądać w domu zostające rośliny, w swoim czasie przesadzać, w swoim czasie obcinać, słowem pielęgnować systematycznie, otaczać opieką, dawać wskazówki zamiłowanej dyletantce, lub wyręczać miłującą kwiaty osobę, która przy innem fachowem zajęciu niema czasu na doglądanie roślin, a jednak pragnie je mieć w domu — oto byłyby obowiązki *pielęgniarek*.

Czy znalazłyby dosyć pracy i czy ten dział ogrodniczej wiedzy dałby dostateczne na utrzymanie zarobki?

Zdaje się, że co do wielkiego miasta na pewno twierdzącą można dać odpowiedź. Tem więcej, że w zakres nauki kursu dla pielęgniarek musiałoby wejść układanie roślin w klomby, wiązanie kwiatów, ubieranie stołów, wazonów, cała słowem dekoracyjna strona, mało u nas stosowana, a jednak tak bardzo umilająca życie i nadająca na-

szym domom, z małym stosunkowo nakładem cechę wytwornie estetyczną.

Bylibyśmy bardzo szczęśliwi, żeby ten projekt, który rzucamy pierwsi, się przyjął i powiódł.

Kobietom przybyłoby dobre i miłe zajęcie, połączone z krzewieniem szlachetnych zamiłowań, a domom naszym prawdziwa ozdoba w doskonale i zdrowo utrzymanych roślinach.

Józefowa Kotarbińska.

Koperty płócienne do serwet.

Hygiena je zapoczątkowała. W sanatoryach i zakładach leczniczych, gdzie walka z mikrobem jest hasłem wszystkich starań, serwety stołowe są w oddzielnych kopertach płóciennych, do których przypina się blaszka z nazwiskiem tego, któremu serweta ma służyć. Jest to robione nie tylko w celach utrzymania porządku, ale powoduje tem ważny wzgląd nieprzenoszenia zarazków choroby.

Za przykładem sanatoryów poszły pensyonaty, a za niemi domy prywatne, zamieniając zwyczajne skromne kieszonki płocienne lub dymowe numerowane na wykwintne futeraliki, zdobne kolorowym haftem, mereżką, monogramem.

Kieszonkę taką należy robić według wymiaru serwet, używanych w domu, złożonych wązko. Łatwa jest niezmiernie do uszycia. Dwie części prostego kawałka płótna stanowią samą kieszeń, a trzecia jej zamknięcie. Słowem dzieli się dany materyał na trzy równe części, nie cięte. Dwie zeszywa się po bokach, a trzecia zostaje, jak u koperty, na wierzchu. Serwetę nie każdy może zmieniać codzień. Po paru dniach jest nieco zużyta. Tymczasem kieszonka, na której wyszyty pęczek fiołków, lub ładny kolorowy szlaczek, czy grecki, czy z motywów roślinnych, nie tylko ukryje podeszły wiek serwety, ale nawet przedłuży jej.. młodość, a stół przyozdobi zawsze. *Mrówka.*

Dom i kuchnia.

Tarte babki,

nie kosztowne a przytem wyborne w smaku. Proporcya na 2 duże formy $^3/_4$ funta masła zetrzeć na śmietanę. W to wkręcić 1 funt cukru, wbijać po jednem żółtku 3, kilka gorzkich migdałów wkroić drobno, wcisnąć sok z jednej cytryny, utrzeć wanilii laseczkę, wlać kieliszek dobrego rumu, 2 filiżanki letniego mleka. Perczanej mąki za 10 fenygów, zwykłej wiedeńskiej mniejwięcej 2 funty, zależeć to zresztą będzie od zawiesistości ciasta, które nie powinno być za rzadkie. W to wszystko wkręcić za 10 fenygów cytrynowego proszku (musującego) a na końcu dodać jeszcze pianę z pozostałych 8 białek. Po nałożeniu ciasta we formy wsadzić zaraz w piec na godzinę.

Placek z zacierką.

Zwykłe drożdżowe ciasto rozciągnąć cienko na stolnicy posypanej mąką, gdy wyrośnie nasmarować rozbitem jajem i osypać dalej podaną zacierką, zrolować, ułożyć na blasze, posmarować jajem, kto chce osypać może krajanemi w paski migdałami i dać na godzinę w piec. Zacierka 60 gr. masła, 60 gr. miałkiego cukru, 60 gr. migdałów miel. zrobić z tego ciasto, usiekać na stolnicy siekaczem i tą zacierką osypać ciasto, postępując jak wyżej.

Mazurek czekoladowy.

1 l. mąki wsypać do miski, rozsunąć w około, przetrzeć przez sito 8 twardo gotowanych żółtek, pół funta miałkiego cukru; łyżkę masła, pół filiżanki mleka świeżego, 1 surowe jajo, 2 łyżki tartej czekolady. 10 sztuk siekanych bez łupki migdałów, wszystko razem doskonale wymieszać, wyrzucić ciasto na stolnicę i wyrabiać mazurki na grubość palca lub małe obwarzanki.

Lukier pomadkowy.

Pół funta cukru zalać szklaneczką wody i zgotować na gęsty syrop, gdy kropla nalana na papier nie ścieka, znak, że dobry, wylać na salaterkę lub miskę kamienną, ucierać na masę i tem baby lub mazurki oblać i zostawić by stężał. Można dodać zapachu skórki pomarańczowej i parę kropel soku cytrynowego.

Farbowanie pisanek.

Do farbowania jaj i wyrabiania na nich deseni, należy najprzód narysować deseń piórem umoczonym w kwasie solnem, a gdy napis wyschnie gotować jajka przez kilka minut w przygotowanej poprzednio farbie. Jajka farbować można w różnych kolorach, nie biorąc farb anilinowych; i tak na kolor żółty gotują jaja w łupinach cebuli, w odwarze z kory dzikiej jabłoni lub w pączkach kwiatu kmieci błotnej (Caltha palustris); na brunatny w brazylii lub moczą w wodzie stojącej w wydrążeniu pnia dębowego, na fioletowy — w listkach kwiatu ciemnej malwy (Atlaca rosea); na zielony — w kotkach osiki z ałunem, w listkach jemioły lub żyta młodego; na pomarańczowy — w krokusie (Carthamus tinctorius); na czarny w korze olchy i młodych liści klonu czarnego (Acer tabaricum); na czerwony — w odwarze — z robaczków „czerwcem“ zwanych.

:: HUMORYSTYKA ::

Skrupulatny płatnik.

Przyjezdnemu w pierwszorzędnym hotelu na wyjezdnem przedstawiają słony rachunek. Nie tylko policzono mu w nim to co spożył, ale kazano płacić za każdą niemal rozmowę ze służącym.

Gość wyjmuje pieniądze z kieszeni i płaci najspokojniej rachunek. Schodząc do doróżki spostrzega właściciela hotelu. — Panie, odzywa się do niego, zapomniał pan pomieścić jednej rzeczy w swoim rachunku.

— Jakiej mianowicie? — zapytuje uradowany gospodarz.

— Wczoraj przy spotkaniu przed hotelem powiedział mi pan dzień dobry.



Mazur na kazaniu.

Mazur słysząc podczas kazania, jak ksiądz pomylił się i mówił, że Abel zabił Kaina, zawołał uradowany: „A dobrze mu tak, boć też wprzód zabijał zawsze Kain niewinnego Abla“.



Pomiędzy przyjaciołmi.

— Wiecie co, jest nas trzech, urządzimy sobie składkową kolacyę. Ja daje jedzenie.

— Dobrze. Ja — picie.

— A ty?

— Ja daję wam słowo, że będę jadł i pił z apetytem.



W szkole.

— Pokaż mi na globusie, gdzie leży biegun północny — mówi nauczyciel do ucznia.

— Nie wiem panie profesorze, gdzie on leży.

— Próżniaku jakiś, czyż to tak trudno jest go pokazać?

— Proszę pana profesora tylu podróżników najznakomitszych nie mogło się do niego dostać, a pan by chciał, abym ja tego dokonał.



Przed sędzią.

Sędzia mówi do stojącego przed sobą złodzieja:

— Jakto, ukradłeś naraz 25 funtów mięsa?

— Przeświętny sędzio, odpowiada złodziej, mniej wziąść nie mogłem, bo nie miałem przy sobie noża.



W porę.

Pewien ojciec strofował swego syna i dawał mu nauki moralne, a między innemi rzekł:

— Gdybym ci powiedział, że masz w wodę skoczyć, to powinieneś natychmiast to uczynić.

Syn, który już od dawna myślał nad tem, jakby przerwać tę niemiłą dyskusję, bierze kapelusz i najspokojniej zabiera się do wyjścia.

— Dokąd idziesz?...

— Idę na wszelki wypadek nauczyć się pływać...



Celem uregulowania nakładu prosimy Szan. Czytelników o jak najrychlejsze nadsyłanie przedpłaty na kwartał przyszły do Administracyi „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie, ul. Wiślna 2. — Prenumerata wynosi rocznie 9 kor., półrocznie 4 kor. 80 hal., kwartalnie 2 kor. 40 hal. Abonament do Francyi, Ameryki, Król. Polskiego i Rosyi tylko półrocznie 8 koron, rocznie 16 koron.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego.“. Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.